



SYMPATYCZNĄ BIBLIOTEKARKE

ZOJĘ KOKORINĘ GRA W SZTUCE G. MDIWANIEGO „NOWE CZASY” WYSTAWIONEJ W POLSCE PRZEZ TEATR IM. E. WACHTANGOWA — MŁODA, UTALENTOWANA AKTORKA J. K. BORISOWA. O WYSTĘPACH ZNAKOMITEGO TEATRU MOSKIEWSKIEGO PISZEMY NA STRONIE 4.

W REFERACIE na dziewiątym plenum Komitetu Centralnego PZPR Bolesław Bierut mówił między innymi o sprawie siewu ozimej pszenicy:

„Nie ulega wątpliwości, że np. siew pszenicy ozimej, przeciągający się na drugą połowę października, jest siewem opóźnionym. Zdarzające się już w październiku przymrozki nie tylko osłabiają rośliny, ale mogą także zniszczyć zasiewy w okresie kiełkowania...”

Czy Partia chce z nas wszystkich zrobić wytrawnych agronomów? Nie. Ale Partia wymaga od wszystkich ludzi w Polsce — partyjnych i bezpartyjnych — zrozumienia wielu, bardzo wielu rzeczy. Partia wychowuje nas wszystkich na dojrzałych, mądrych obywateli. Jest to szkolenie i wychowywanie na olbrzymią skalę, ale bez niego nie można wyobrazić sobie realizacji socjalizmu.

W kapitalizmie rząd, cały aparat państwa, propaganda skrupulatnie czuwały, by ludzie jak najmniej interesowali się tym, co dla życia ludzi i narodu najistotniejsze. Gdy szalał kryzys, narodowi dawano, a przynajmniej usiłowano dawać, jako pożywkę — pozał się Boże — uryslową — proces Gorgonowej. Miliony czytelników gazet w Polsce ówczesnej zastanawiać się miały nie nad przyczynami nędzy i bezrobocia, ale nad tym, jakiego koloru nocną koszulę nosiła Gorgonowa tej nocy, której zamordowano Lusię Zarembiankę.

Rząd ludowy i nasza Partia — wszystkimi siłami pragną uwagę obywateli zwrócić na podstawowe problemy życia. Partia chce, żebyśmy wszyscy nie tylko przyjmowali do wiadomości dziejące się wydarzenia, ale żebyśmy je wszystkie rozumieli. Dlaczego? Po co? Dlatego i po to, że my jesteśmy współtwórcami tych faktów. Partia nie chce biernej naszej akceptacji rzeczywistości, ale czynnego do niej stosunku. A działać, być czynnym — to znaczy przede wszystkim rozumieć.

I dlatego właśnie mamy nie tylko akceptować podstawowe założenie Polski Ludowej — sojusz robotniczo-chłopski, więź między miastem i wsią. Musimy interesować się takimi sprawami jak siew ozimej pszenicy. Nie mamy w tym zakresie prześcigać się w znawstwie z obywatelami członkami spółdzielni produkcyjnych, obywatelami pracującymi chłopami indywidualnymi, albo z pracownikami PGR-ów czy POM-ów. Ale nie możemy uchylać się od zainteresowania pracą ludzi wsi, ich trudnościami i potrzebami. Podobnie jak oni z kolei interesować się muszą naszą pracą. Na podstawie tego obustronnego zainteresowania, obustronnego rozumienia rośnie i rozwija się sojusz i więź wsi i miasta, robotników i chłopów.

CORAZ więcej musimy wiedzieć i rozumieć. Są to bardzo wymagające czasy. Wymagające tego, żebyśmy coraz bardziej rozwijali się, kształcili, czasy nie pozwalające pozostawać na uboczu, ale wołające stale: „Bądź człowiekiem mądrym i czynnym. Bądź coraz bardziej człowiekiem!”

Tę mądrość i czynność w kapitalizmie rezerwuje się dla wąskiej

warstwy rządzących monopolistów i ich sługusów. Socjalizm wymaga od wszystkich, by byli czynni i mądrzy. Kapitaliści polscy na przykład ukrywali przed masami istnienie ścisłego związku między uprzemysłowieniem a podniesieniem stopy życiowej w Polsce. Dziś w dobie zwycięskiej już realizacji dzieła uprzemysłowienia, Partia wskazuje na wszystkie możliwości prowadzące do coraz lepszego i szybszego zaspokajania potrzeb ludzkich — już na bazie rozwiniętego przemysłu.

Najbardziej światłe umysły przodujących ludzi przeszłości ogarniały przyszłość. Bolesław Prus w roku 1884 pisał w swej „Kronice tygodniowej”: „Europa Wschodnia wówczas dojdzie do równowagi ekonomicznej, wówczas przestanie się zadłużać, wówczas przestanie dbać o konkurencję amerykańskiego zboża, gdy tak rozwinię swoje rzemiosło i przemysł, że te towary, które dziś sprowadza z zagranicy, będzie mogła wyrabiać u siebie”. A dzieła tego miały dopiero dokonać ludy po obaleniu władzy burżuazji. Dokonanie tego dzieła pozwala nam polepszać coraz bardziej warunki bytu ludzkiego.

Z powodu dużego importu ówczesnego obcych towarów Prus pisał: „Dziś jest moda na wyroby o pięknych formach i kolorach; kto wie jednak, czy nie należałoby wprowadzić mody nawet rzeczy mniej ładnych, ale swoich. Kto wie, czy za sto lat nie będzie cenniejszą ta prosta filiżanka, z której wyrósł przemysł krajowy, aniżeli te piękne filiżanki, które nas trzymają w zależności od obcych?”

Możliwe, iż ekscentryczni zbieracze niedługo już będą poszukiwać brzydkich towarów krajowej produkcji z epoki brakoróbstwa i partaczenia wyrobów codziennego użytku w naszych czasach. Możliwe. Ale powiedziano, że dość już tego partaczenia, że trzeba podnieść i tę produkcję na wyższy poziom: ilościowy i jakościowy. Chcemy mieć swoje filizanki i ładne filizanki i mają to być te same filizanki.

PARTIA wskazała, jaką drogą doszliśmy do dzisiejszej sytuacji i jakie drogi prowadzą do dalszego zaspokajania potrzeb ludzkich. Na wszelkie pytania i wątpliwości Partia odpowiada w sposób jasny i prosty: czy mamy rozwijać przemysł czy rolnictwo? Mamy rozwijać i przemysł i rolnictwo. Czy mamy budować tylko przemysł ciężki, czy dbać o zaspokajanie bezpośrednich ludzkich potrzeb? Mamy rozwijać przemysł ciężki i zaspokajać coraz lepiej ludzkie potrzeby. Czy rozszerzenie frontu zaspokajania ludzkich potrzeb ma oznaczać zahamowanie rozwoju naszego przemysłu? Nie, nie ma oznaczać, gdyż wszelkie zahamowanie na tym odcinku stanowiłoby zagrożenie naszego rozwoju, a więc i zagrożenie dzieła zaspokajania potrzeb.

Dobrze musimy siać pszenicę w Polsce, dobrze wszystko robić. Tak jak dobrze zasiano socjalizm. Kiełki wyrosły już. Już formują się kłosa.

JAN SZELAĞ

O SZYBSZE PODNIESIENIE STOPY ŻYCIOWEJ MAS PRACUJĄCYCH



„Chodzi więc o... skoncentrowanie się na następujących zadaniach:

1 podniesienie ogólnej produkcji rolnictwa, a więc: wydajne zwiększenie zbiorów przez lepszą i bardziej racjonalną uprawę gleby oraz szersze zastosowanie współczesnych wymagań nauki rolniczej: wzrost produkcji hodowlanej przez dalsze zwiększanie liczby i jakości pogłowia zwierzęcego, rozszerzenie bazy paszowej, ulepszenie metod hodowli, pielęgnacji przychowu i systemu karmienia oraz obsługi weterynaryjnej i zootechnicznej; oddziaływanie na wzrost produkcji rolnej i hodowlanej przez dodatkowe bodźce ekonomiczne, większą pomoc państwa, szersze upowszechnienie wiedzy zawodowej i intensywniejsze niż dotąd szkolenie wysoko wykwalifikowanych kadr rolniczych; lepsze i sprawniejsze kierowanie rozwojem produkcji rolniczej przez centralne i terenowe władze;

2 zaspokojenie rosnących potrzeb inwestycyjnych rolnictwa — w szczególności: pomoc w rozbudowie pomieszczeń gospodarczych — przede wszystkim dla pobudzenia rozwoju hodowli w spółdzielniach produkcyjnych, w indywidualnych gospodarstwach chłopskich i w gospodarstwach państwowych; w tym celu należy odpowiednio rozszerzyć pomoc kredytową ze strony państwa oraz zwiększyć poważnie odpowiednie zaopatrzenie materiałowe;

3 na bazie wzrostu mechanizacji gruntowna reorganizacja pracy państwowych i gminnych ośrodków maszynowych w celu ulepszenia obsługi agronomicznej, podniesienia jakości uprawy i rozszerzenia obszaru uprawianych przez ośrodki maszynowe gruntów oraz obejmowania w większym niż dotąd zakresie również obsługi indywidualnych gospodarstw chłopskich na korzystnych dla nich warunkach;

4 wydajne rozwinięcie w najbliższym okresie tych działów przemysłu maszynowego, które obsługują potrzeby rolnictwa, a więc zabezpieczenie szybkiego wzrostu produkcji kombajnów, traktorów, maszyn i narzędzi rolniczych, w celu znacznego zwiększenia i bardziej wszechstronnego zastosowania mechanizacji robót rolnych; przyspieszenie rozbudowy i szybsze zwiększenie produkcji tych szczególnie działów przemysłu chemicznego, które zaopatrują rolnictwo w nawozy sztuczne, środki owadobójcze itp;

5 zmniejszenie rozpiętości między wzrostem produkcji środków wytwórczości a wzrostem produkcji przedmiotów spożywczych, wydajne zwiększenie produkcji przemysłu lekkiego i spożywczego oraz przemysłu drobnego, spółdzielczego i miejscowego w celu lepszego niż dotąd zaopatrzenia mas pracujących w mięsie i na wsi w artykuły masowego użytku, bez czego niepodobna osiągnąć istotnej i szybkiej poprawy stopy życiowej mas pracujących; jednocześnie należy udzielać odpowiedniej pomocy i opieki rzemiosłu indywidualnemu;

6 wydajne polepszenie jakości i wytwarzanych przez przemysł produktów, energiczna i zdecydowana walka z brakoróbstwem, z nieuczciwym wykonawstwem, z lekkomyślnym i wysoce szkodliwym społecznym lekceważeniem przez wiele zakładów przemysłowych i rzemieślniczych obowiązku stałego podnoszenia jakości produktu oraz dostosowywania wytwarzanych produktów do potrzeb i upodobań konsumentów;

7 zdecydowana poprawa pracy handlu uspołecznionego poprzez rozbudowę sieci sklepów, składów, magazynów, punktów żywienia zbiorowego i usprawnienie ich działalności; osiągnięcie istotnego przełomu w metodach i poziomie obsługi konsumentów;

8 stosowanie polityki stopniowej zniki cen na produkty masowego użytku w oparciu o stały wzrost produkcji i wydajności pracy na bazie ulepszeń technicznych, oszczędności materiałów i obniżki kosztów własnych produkcji;

9 przestawienie programu budownictwa w najbliższym okresie w kierunku poważnego zwiększenia budowy nowych osiedli robotniczych i nowych domów mieszkalnych, a równocześnie zdecydowanego wzmocnienia troski władz terenowych o konserwację istniejących budynków mieszkalnych, o znaczne rozszerzenie i systematyczne prowadzenie niezbędnych robót remontowych, zarówno w miastach jak i na wsi; w tym celu należy wzmocnić przedsiębiorstwa remontowe i budownictwa mieszkaniowego oraz usprawnić i zwiększyć ich zaopatrzenie w niezbędne materiały budowlane;

10 usprawnienie gospodarki komunalnej, komunikacji miejskiej i podmiejskiej, dalszy rozwój szkolnictwa, instytucji oświatowych, zdrowotnych, sportu, lecznictwa i obsługi potrzeb wypoczynkowych i kulturalnych najszerszych mas ludności pracującej.

Jest rzeczą niewątpliwą, że pomyślnie rozwiązanie wymienionych zadań wydajnie przyczyni się do lepszego zaspokajania rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb ludności w mieście i na wsi, a wraz z tym do szybszego wzrostu stopy życiowej, dobrobytu i kultury mas pracujących”.

(Z REFERATU BOLESŁAWA BIERUTA NA IX PLENUM KC PZPR)



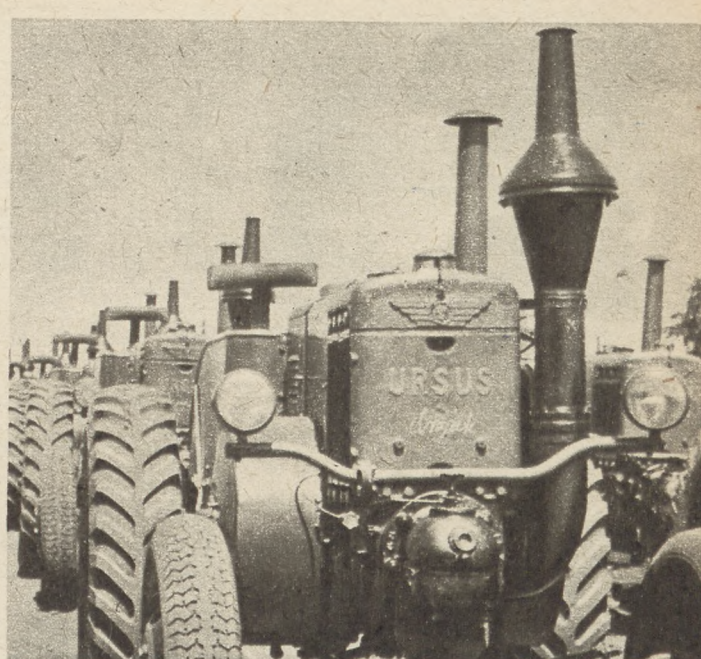
1 Produkcja rolnictwa wzrosła w ciągu najbliższych dwóch lat o około 10%, tj. o tyle, o ile wzrosła w ciągu ostatnich czterech lat. Zbiory zbóż w roku 1955 będą większe w porównaniu z rokiem 1952 co najmniej o 600 tysięcy ton...



2 W 1955 roku nakłady inwestycyjne na rozwój rolnictwa wzrosną o 45%, w porównaniu z rokiem 1953. Wyrazi się to m. in. w znacznym zwiększeniu dostaw materiałów budowlanych oraz w zwiększeniu kredytów dla małych i średnich rolników. Wydatnie będzie podniesiona produkcja cegły, cementu, wapna, dachówki i papy...



3 Dla lepszego zaopatrzenia rolnictwa produkcja maszyn i narzędzi wzrośnie w roku 1955 prawie dwukrotnie w porównaniu z rokiem 1953. Zwiększy się zaopatrzenie gospodarstw indywidualnych oraz G. O. M. w siewniki, kopaczki, kultywatory itp. Wzrośnie poważnie obszar ziemi uprawianej mechanicznie...



4 Ilość traktorów powiększy się o około 29%. Wartość dostaw nawozów sztucznych dla rolnictwa zwiększy się do 1,700 milionów zł, tj. o około 35%. Sprzedaż nawozów sztucznych gospodarstwom indywidualnym zwiększy się o 40%. Nakłady inwestycyjne na melioracje wzrosną o 70%...



5 W latach 1954—55 produkcja obuwia skórnego wzrośnie o 20%, tkanin wełnianych o 11%, jedwabnych o 20%, mebli o 26% oraz artykułów spożywczych: pieczywa o 12%, mięsa o 16%, tłuszczów zwierzęcych o 23%, cukru o 7% itd...



6 Jakość towarów winna odpowiadać wzrastającym wymaganiom ludności. Asortyment towarów będzie wzbogacony, zostanie zwiększona produkcja artykułów wysokogatunkowych. Podniesie się jakość tkanin, odzieży, bielizny, obuwia, pieczywa, produktów mlecznych, wędlin, konserw...



7 Sieć sklepów handlu uspołecznionego zwiększy się o około 4 tysiące, w tym na wsi o około 2 tysiące. Poważnie zostanie rozwinięta sieć handlowa w nowych osiedlach mieszkaniowych i usunięte będą istniejące na tym odcinku zaopiekowania...



8 Płace realne pracowników oraz dochody pracujących chłopów wzrosną o około 15%. Wzrost dochodów będzie realizowany przez stopniową obniżkę cen artykułów konsumpcyjnych, wzrost płac w oparciu o zwiększenie wydajności pracy, o wzrost produkcji i towarowości gospodarki chłopskiej...



9 W roku 1955 otrzymamy 162 tysiące izb mieszkalnych, tj. około 20% więcej, niż w roku bieżącym. Na remonty mieszkań przeznaczy się w 1954 roku ponad 830 milionów zł, a w roku 1955 ponad 1,120 milionów zł, wobec 530 milionów w roku 1953. Sprzedaż materiałów budowlanych dla wsi zwiększona będzie o około 65%...



10 Nakłady inwestycyjne na budownictwo społeczne i kulturalne będą zwiększone w r. 1955 o 34% w porównaniu z rokiem 1953. Nakłady na rozwój urządzeń komunalnych będą wyższe o 26%. Zostanie usprawniony transport miejski; wzrośnie liczba wozów tramwajowych, autobusowych i trolleybusowych...



TWÓRCZA DROGA TEATRU IM. WACHTANGOWA

J. A. SZCZEPAŃSKI

O D sześciu lat stały się zwyczajem, witany przez nasze społeczeństwo z serdeczną radością, coroczne odwiedziny jednego z wybitnych teatrów radzieckich w Warszawie i innych miastach Polski. Udostępniają one widzowi polskiemu czołowe osiągnięcia przodującego teatru świata, ukazując twórczą drogę teatru w służbie wychowania człowieka. Gościliśmy już u siebie najświetniejszy radziecki teatr kukiełkowy — zespół Obrazcowa — teatry z Moskwy (dramatyczny i Mossowietu), Leningradu (znakomity Teatr im. Puszkina), Kijowa, (czołowy ukraiński Teatr im. Franki)... A obecnie widzimy na naszych scenach przedstawienia Teatru im. Wachtangowa z Moskwy.

Było to w roku 1922. Tzw. „Trzecie Studio Moskiewskiego Teatru Artystycznego” wystawiło „Księżniczkę Turandot”, sztukę o umownej tematyce chińskiej, pióra włoskiego pisarza z XVIII wieku, Carlo Gozziego. Reżyserował kierownik Studia, uczeń Stanisława Skłódzkiego i jeden z najbardziej twórczych ludzi realistycznego teatru radzieckiego, Eugeniusz Wachtangow. Z barwnej bajki teatr wydobyt na pierwszy plan i przekazał widzowi w niezwykle sugestywnej formie realistyczne jądro utworu i jego głęboko humanistyczną, postępową myśl. Widowisko stało się rewelacją w dziejach teatru i raz jeszcze udowodniło, jak zasadnicze znaczenie ma w ideowym teatrze wnikliwa interpretacja tekstu, wyłuskanie naczelnego ideału utworu, śmiałe nowatorstwo, jedność treści i formy.

Twórca nie dożył triumfu swego dzieła: zmarł w przededniu premiery „Turandot”, przeżywszy zaledwie 39 lat. Lecz jego dzieło teatralne nie umarło, utalentowani uczniowie zachowali jego myśl teatralną i stworzyli przezeń zespół i poszli dalej wytkniętą przez Wachtangowa drogą. Z „Trzeciego Studia” powstał w roku 1926 Teatr imienia Wachtangowa, pielęgnujący najlepsze tradycje pracy teatralnej swego założyciela, kroczący zawsze w pierwszym szeregu rewolucyjnego, najdojrzalszego ideowo i artystycznie teatru radzieckiego.

Przebytą drogę prześledzić możemy na nowej sztuce o tematyce chińskiej, wystawionej „u Wachtangowa” — patrząc na „Dziewczynę o białych włosach”, sztukę współczesnych chińskich autorów, Ho Czing-czi i Ting I, wystawioną w roku 1952. Poznajemy w tym przedstawieniu, jak treść socjalistyczna podkreślić jeszcze może narodową formę, jak można stworzyć barwne, stylizowane widowisko, nie osłabiając żadnego społecznego akcentu, przeciwnie, uwydatniając w sztuce całą jej treść ideową. Autorzy chcieli ukazać starą i nową wieś chińską i wyzwolenie chłopów z niewoli u obszarńnika. Reżyserzy (Gierasimow, Lioznowa i Samsonow) i znakomity scenograf Ryndin wyczarowali na scenie pełne uroku, stylowe widowisko, przepełnione głębokim wyczuwaniem odrębności życia chińskiego, i utrzymali tę artystyczną

świetność spektaklu zarówno w scenach ilustrujących obyczajowość odchodzących w przeszłość Chin feudalnych, jak i w słabiej napisanych scenach, obrazujących wyzwolenie uciskanych chłopów przez bohaterką, ludową Armie.

W roku 1924 III Studio wystawiło z powodzeniem dramat o pierwszych rewolucyjnych przemianach na wsi radzieckiej — „Wirynę” Lidii Seffuliny. Tuż przed przybyciem na występy w Polsce, jesienią 1953 roku, pojawiła się w Teatrze im. Wachtangowa nowa, kolejna sztuka o wsi radzieckiej, Georgija Mdiwani „Nowe czasy”. Troska o jak najprawdziwsze zobrazowanie dzisiejszej, kolchozowej wsi radzieckiej, dla której problemy uspołeczniania, walki z kulaństwem itp. są już historyczną przeszłością, a której zadania współczesne zawarte są, mówiąc najogólniej, w dotrzymywaniu kroku społeczeństwu zmierzającemu do komunizmu, skłoniła zespół (pod kierunkiem Łukjanowa) do wzięcia tej sztuki na swój warsztat twórczy i do jak najbardziej starannej i życzliwej nad nią pracy. A zadanie było szczególnie trudne, ponieważ dydaktyczna fabuła „Nowych czasów”, unika raczej ostrych spłót dramatycznych i dotyczy przede wszystkim starca lepszego z dobrym.

Działo się to w roku 1932. Maksym Gorki, największy mistrz radzieckiego dramatu, jeden z największych dramaturgów epoki, po dłuższym milczeniu wystąpił z nową sztuką. Jej tytuł: „Jegor Bułyczow i inni”. Autor, po namyśle, złożył ją młodemu Teatrowi im. Wachtangowa, w ręce reżysera Borysa Zachawy. I teatr nie zawodził zaufania pisarza. Stworzył widowisko pełne rewolucyjnego napięcia i nowatorskie w formie. Dzieje Bułyczowa i innych — obraz upadku całej klasy społecznej — znalazły w Teatrze im. Wachtangowa godny Gorkiego wyraz. Dzień tej moskiewskiej prapremiery „Bułyczowa” (25 września 1932 r.) był — czytamy w książce „Sowiecki Teatr” — „jedną z najważniejszych dat w historii radzieckiego teatru”.

Po latach teatr wznowił to przedstawienie, chociaż nie w niewolniczej kopii — i znów powstało jedno z najświetniejszych przedstawień radzieckich. Przed oczyma widzów przesuwają się z niezwykłą prawdą ukazane życie burżuazyjnej rosyjskiej rodziny w ostatnim okresie przed wybuchem i zwycięstwem Wielkiej Rewolucji Październikowej, życie uszczególnione w swojej pełnej dynamizmu i siły epickiej fabule, stwarzającej wszakże potężne uogólnienie ideowe. Teatr daje świadectwo

wielkiej ideowej prawdy, a widz podziwia mistrzostwo reżyserii Zachawy i świetną, w jedną konstrukcję artystyczną zestrzeloną grę całego zespołu (stała zresztą cechą kolektywu teatru).

Gdy w roku 1941 Kraj Rad znalazł się w straszliwej walce z najeżdżącą faszystowskim — nie zabrakło na froncie walki i Wachtangowców. Wśród wystawianych przez nich dla żołnierzy sztuk pojawił się również „Front” Korniejczuka, dzieło wybitnie bojowe i mobilizujące.

Faszyzm hitlerowski został pokonany, lecz hasła jego jeszcze żyją. Żyje najbardziej brutalny rasizm w Stanach Zjednoczonych i w Unii Południowoafrykańskiej. Dlatego czynem bojowym, aktem frontowej walki o sprawiedliwość jest sztuka postępowych autorów amerykańskich, Jamesa Gow i Arnauda d'Usseau, „Głęboko sięgają korzenie”, wymierzona przeciw rasizmowi i uciskowi Murzynów w Ameryce. I dlatego łatwo zrozumieć, czemu włączył ją w swój repertuar Teatr im. Wachtangowa. W inscenizacji Simonowa i Gabowicza, w doskonałym wykonaniu aktorskim — utwór Gow'a i d'Usseau zaostreza swą wymowę ideową, zyskuje rangę bardziej wartościową niż ma w rzeczywistości, rangę dzieła sztuki, obnaża korzenie rasizmu, jego klasową funkcję. Oto magia teatru i siła teatralnego widowiska, jeśli je przygotowuje teatr świadomy swoich ideowo-politycznych i artystycznych celów i zamierzeń, służący bezkompromisowo sprawie postępu i przyjaźni między narodami, znający swoje środki artystyczne i umiejący je stale pogłębiać.

W roku 1932 grał Jegor Bułyczow jeden z najświetniejszych artystów rosyjskiego teatru, niezapomniany Borys Szczukin. Ale gdy zmarł — nie pozostawił próżni po sobie. Teatr radziecki obfituje w setki bardzo dobrych, wszechstronnie sprawnych aktorów, w dziesiątki świetnych aktorów, stanowiących chlubę swego zawodu, i nigdy mu też nie brak znakomitych, do historii światowego teatru przechodzących, przodujących ludzi aktorskiego kunsztu. Świetni soliści na tle znakomitego zespołu — oto co cechuje aktorskie wykonanie sztuk w teatrze radzieckim. Mieliliśmy sposobność przekonać się o tym w latach ubiegłych, mamy sposobność i obecnie, oglądając występy Teatru im. Wachtangowa.

Takie role jak Sergiusza Łukjanowa w „Jegorze Bułyczowie” i „Nowych czasach”, Cecylii Mansurowej, jako starej, feudalnej obszarńniczki chińskiej, a Haliny Paszkowej jako młodej przedstawicielki przebudzonych Chin Ludowych, takie role jak Laryssy Paszkowej jako starszej córki Bułyczowa, Andrzeja Abrikosowa jako bohatera Murzyna Charlesa, Marii Sinielnikowej jako starej służącej chińskiej obszarńniczki oraz murzyńskiej sługi amerykańskiego senatora ze stanów bawelnianych, takie role jak Józefa Tołczanowa jako owego senatora-rasisty lub Leonida Szichmatowa jako rosyjskiego, przedrewolucyjnego adwokata i aferzysty czy postępowego amerykańskiego pisarza — takie i wiele innych ról to niezawodne przykłady umiejętności ukazywania na scenie żywych i pełnowymiarowych ludzi. Przy czym, powtarzamy, role te nie mają w sobie nic z koncertowego gwiazdorstwa czy z popisu dla popisu (jak to często zdarza się z wybitnymi aktorami w teatrze burżuazyjnym) — przeciwnie, wyrastają one organicznie z całego zespołu i są z nim nierozdzielnie związane. To nie mniej niż inne elementy ważny sprawdzian świetności i rzetelności Teatru im. Wachtangowa i w ogóle teatru radzieckiego.



SUDAN

RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE!

Rysował: ZDZISŁAW LACHUR

Z RYSUNKÓW zamieszczonych obok patrz na Was znajome twarze. Są to twarze młodych ludzi z różnych stron świata. Twarze chłopców i dziewcząt, uchwycone przez naszego rysownika we wzięciu. w Warszawie, na Międzynarodowym Kongresie Studentów.

Zapewne ludzie ci, jak również wszyscy ich towarzysze, których podobizny nie utrwalił ołówek rysownika, ani nie umieściła gazeta — często, po powrocie do swych krajów, myśleli o sobie wzajemnie.

Lecz w tych dniach właśnie zacieśnił się jeszcze owa więź wspólnych myśli. 17 listopada młodzi ci ludzie obchodzą bowiem będą Międzynarodowy Dzień Studenta.

Oto studentka chińska, Jo Czi-hua, z Pekinu. W jej ojczyźnie 17 listopada jest dniem szczęśliwym. W jej ojczyźnie do szkół chodzi coraz więcej dzieci, na uniwersytety uczęszcza coraz więcej młodzieży, opłaty szkolne i koszty utrzymania studentów pokrywane są przez państwo. Kolega młodzieńczej Jo Czi-hua, przemawiając na Kongresie warszawskim w imieniu delegacji chińskiej, opowiedział, jak studenci chińscy zorganizowali pomoc dla absolwentów uniwersytetu w Japonii, którym groziła perspektywa bezrobocia — i dla studentów z nawiedzzonego klęską suszy okręgu Andhra w Indiach.

Oto widzicie obok Pan Su Nien, młodą Korkankę. W jej kraju 17 listopada jest dniem nadziei i odbudowy. W jej kraju w ciągu trzech lat studenci, zamieniwszy pióro na oręż, byli żołnierzami. Młodzież koreańska w bohaterskim, nierównym boju odzyskała prawo do nauki i do życia.

Oto student z Indonezji. Na jego ziemi 17 listopada jest dniem walki. Na jego ziemi większość dzieci w wieku szkolnym nie uczęszcza do

szkół. Za mało jest nauczycieli, za mało lekarzy — za to wiele, bardzo wiele ludzi chorych na gruźlicę.

Studentka z Kuby. W jej kraju w dniu 17 listopada studenci domagać się będą wolności słowa, wywłaszczenia obcych koncernów, eksploatujących kubańskie bogactwa narodowe, zlikwidowania obcych baz wojskowych.

Student z Egiptu. Koledzy jego manifestować będą w obronie wolności, agitować będą za porozumieniem i ścisłą współpracą studentów Środkowego Wschodu i Północnej Afryki.

Student z Sudanu. Towarzysze jego żądać będą umożliwienia studiów nie tylko garstce wybranych, lecz szerokim warstwom ludu.

Różnie upłynię dzień 17 listopada w różnych krajach. Inaczej będą go obchodzili studenci radzieccy i polscy — inaczej francuscy. Inne sprawy występują na plan pierwszy tam, gdzie „jutro jest już dniem wczorajszym” — a inne tam, gdzie do szczęśliwego jutra prowadzi jeszcze trudna i ofiarna walka.

Sekretarz Generalny Międzynarodowego Związku Studentów, Giovanni Berlinguer, mówił na Kongresie warszawskim o tym, co pomaga w realizacji owych różnorodnych wysiłków i dążeń: „Najbliższy dzień 17 listopada będzie obchodzony w tym samym duchu, jaki panuje na obecnym Kongresie — w duchu współpracy i przyjaźni”.

Niegdyś tę właśnie ideę współpracy i przyjaźni, wielką, humanistyczną ideę międzyludzką solidarności pewien student polski, Adam Mickiewicz, wyraził w słowach prostych i pięknych:

„Razem, młodzi przyjaciele,
W szczęściu każdego są wszystkich cele!”



CHINY



KOREA



INDONEZJA



EGIPT



KUBA

DOLARY i LUDZIE

Korespondencja własna „Świata“

FRANCIS CREMIEUX

Paryż, w listopadzie.

W ŚRODĘ, 30 WRZEŚNIA, w Waszyngtonie i w Paryżu opublikowano tekst układu o Vietnamie, zawartego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a rządem francuskim. Pod osłoną dyplomatycznych formułek krył się akt kupna: oto za 385 milionów dolarów (jest to suma określona w układzie jako „maksymalna“) kupowano życie francuskich, algerskich i marokańskich żołnierzy, którzy giną w Vietnamie w imię interesów garstki imperialistów.

Jednocześnie niemal ogłaszano w tych samych stolicach, że do Indochin udają się poważne posiłki wojskowe. Wiadomości te wywarły w społeczeństwie francuskim duże wrażenie. Niepokój i wrogość opinii publicznej wobec kolonialnej wojny znalazły szerokie echo w całej prasie francuskiej. Półoficjalny „Le Monde“ pisał 2 października w zakończeniu artykułu wstępnego pt. „Dolary i ludzie“:

„Francji zagraża to, że będzie w Vietnamie... po prostu płatnym żandarmem z ramienia zachodnich sił zbrojnych. Armia francuska zaś poświęcana będzie nadal w oczekiwaniu na całkowite zwycięstwo, które wydaje się niepodobieństwem, lub na rokowania, o których wprawdzie często się mówi, ale których naprawdę nikt nie chce rozpocząć...“

Dziennik „Combat“ pisał:

„W każdym bądź razie sytuacja jest dla nas jasna. Rząd francuski wypełnia rozkazy Waszyngtonu... Za kilka dni wojna rozgorzeć ma z nową siłą... Pan Bidault obiecuje nam zwycięstwo, zwycięstwo, na które czekamy od 7 lat. Coż powie nam p. Bidault na wypadek klęski?“

Dziennik „Paris-Normandie“ domagał się ustalenia wytycznych polityki francuskiej i parlamentarnej debaty na temat rokowań z Wietnamską Republiką Demokratyczną:

„W przeciwnym bowiem razie — pisała gazeta — jeśli naród nie jest poinformowany, jeśli nie zgadza się z polityką, którą się prowadzi, lecz której się nie tłumaczy — zbudzimy się pewnego dnia w obliczu opinii publicznej, gotowej do wypowiedzenia zawartych układów“.

Na podstawie tych kilku nawet cytatów z prasy burżuazyjnej zdać sobie można sprawę z siły ludowego ruchu na rzecz zawieszenia broni w Vietnamie i z obaw, jakie wzbudza ruch ten w łonie paryskiego rządu.

DZIEJE DESANTU W LAO-KAI

Dowództwo francuskiego korpusu ekspedycyjnego zmuszone było przyznać w oficjalnych komunikatach, że armia ludowa Wietnamu nęka bezustannie francuskie linie obronne w delcie Tonkinu. Desanty spadochronowe zrzucone na tyły wojsk wietnamskich zakończyły się całkowitą klęską. Przez wiele dni nie można było dowiedzieć się we Francji, co się stało ze spadochro-

„Bрудna wojna“ w Vietnamie... Podwójna cenzura ustanowiona przez francuskie dowództwo wojskowe nie zdołała ukryć przed francuską opinią publiczną dotkliwych klęsk

niarzami, którzy wylądowali w prowincji Lao-Kai, w północno-zachodniej części Wietnamu. Dopiero komunikat dowództwa naczelnego Wietnamskiej Armii Ludowej przyniósł rozwiązanie zagadki. Desant został zlikwidowany. „W ręce oddziałów ludowych — podawał komunikat — dostały się znaczne ilości broni i amunicji, zrzucone z samolotów dla wojsk francuskich“.

Jednocześnie francuskie komunikaty oficjalne dawały do zrozumienia, że oddziały marionetkowego rządu Bao-Dai „nie są pewne“: dezercje stają się coraz częstsze, dowództwo francuskie nie może gwarantować „lojalności“ wojsk marionetkowego cesarza. W ten sposób przygotowywano grunt do wystąpienia nowych oddziałów z Francji do Wietnamu, mimo że stosunkowo niedawno pisma rządowe zapowiadały „odwołanie korpusu ekspedycyjnego“ i rzekome zastąpienie go przez „oddziały składające się z tubylców“. Wszystkie te nowe poczynania i zamierzenia były zaś następstwem coraz gorszej sytuacji wojsk francuskich. Klęski ich następują w okresie, gdy we Francji z dnia na dzień wzrasta się ludowa kampania na rzecz rokowań z demokratycznym rządem Wietnamu, kampania łącząca się z szerokim ruchem protestacyjnym przeciw zbrojnemu odwetowców Adenauera i wojennym układom z Bonn.

EXODUS W SAIGONIE

Francuska opinia publiczna zdecydowanie potępia politykę zdrady elementarnych interesów kraju. Nawet

Dowództwo korpusu ekspedycyjnego mści się na bezbronnej ludności za klęski na froncie... Kobiety i dzieci przewożone są do obozów koncentracyjnych.

Grupa żołnierzy Wietnamskiej Armii Demokratycznej, broniącej wolności i niepodległości swego narodu.

Realizacja „układu“ z 30 września. Za 385 milionów dolarów — krew żołnierzy francuskich. Z Wietnamu do stolicy Francji przybywa transport ciężko rannych.

Saigon. Ambasador Stanów Zjednoczonych Heath i ad-





do oddziałów Bao-Dai — służyć mają po prostu imperialistom amerykańskim dla zbudowania przyczółka na kontynencie azjatyckim.

W takiej sytuacji rząd francuski stara się zmylić opinię publiczną. Dzienniki wieczorne z 8 października przyniosły np. pod tytułami na całą szerokość pierwszej kolumny, wiadomość, że rząd wypowiada się rzekomo za konferencją pięciu wielkich mocarstw, z udziałem Chin. Wiadomość została niemal że natychmiast zdementowana przez ministerstwo spraw zagranicznych, ale słowa, jakich z tej okazji użyto, świadczyły, że posiedzenie rady ministrów było burzliwe. Siła ruchu na rzecz rokowań i porozumienia jest tak wielka, że paryski gabinet musi się z nią liczyć.

O POKÓJ W VIETNAMIE

Rząd francuski atakowany jest jednocześnie na wszystkich frontach: do żądań podwyżki płac, wysuwanych przez robotników i urzędników państwowych, dołączyła się akcja małych i średnich chłopów. Rozszerzyła się ona na cały kraj, a 12 października w wielu departamentach Francji drogi zostały zabarykadowane przez demonstrujących chłopów. Manifestowali oni pod znakiem sojuszu robotniczo - chłopskiego przeciw katastrofalnej obniżce cen produktów rolnych. Jednocześnie lud Francji domaga się odrzucenia układów z Bonn i zakończenia wojny w Indochinach.

Z dniem każdym coraz bardziej stają się bowiem jaskrawe sprzeczności, spowodowane przez politykę marszallizacji Francji. Wszystko wskazuje na to, że protest opinii francuskiej będzie coraz mocniejszy. Żądania jej znalazły tak szerokie echo w Zgromadzeniu Narodowym, że — jak podawała prasa paryska — „na kilka godzin przed zakończeniem debaty nad sprawami Wietnamu poczęła zarysowywać się możliwość przyjęcia uchwały potępiającej politykę rządową i głoszącej konieczność rokowań pokojowych z Wietnamską Republiką Demokratyczną”.

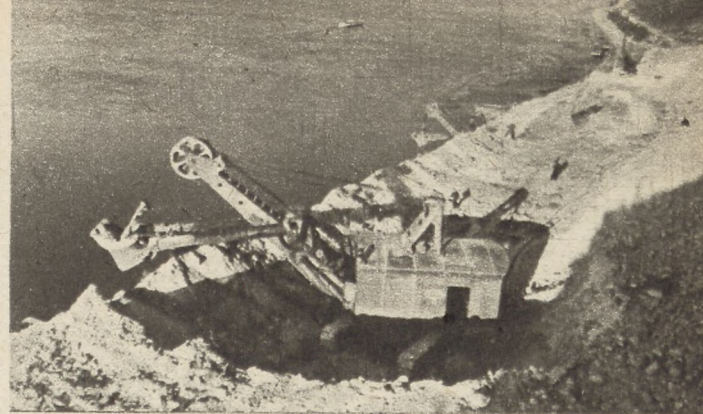
Zakulisowe machinacje i bezpośrednia presja amerykańska na deputowanych burżuazyjnych doprowadziły wprawdzie do przyjęcia rezolucji, stwierdzającej ogólnikowo, że „należy doprowadzić do rokowań w sprawie ogólnego pokojowego rozwiązania zagadnień azjatyckich”, i popierającej jednocześnie amerykańskie hasło „walki Azjatów z Azjatami” (mówiono w niej bowiem znowu o wycofaniu korpusu ekspedycyjnego i... zastąpieniu go przez oddziały Bao-Dai). Jednakże przeciw rezolucji, przegłosowanej przez 315 deputowanych, wypowiedziało się 251 głosów. Należały one do deputowanych komunistycznych, socjalistycznych, republikanów postępowych i części radykałów. Równocześnie ludowa kampania na rzecz bezzwłocznego przerwania wojny w Wietnamie nadal przybiera na sile.

Ostatnio Liga Praw Człowieka domaga się w specjalnym komunikacie natychmiastowego wszczęcia rokowań z demokratycznym rządem Republiki Wietnamskiej. Rezolucje podobnej treści podejmowane są w całej Francji. 1 listopada postępową prasą paryską opublikowała orędzie Wietnamskiego Komitetu Obróńców Pokoju do Francuskiej Rady Pokoju. „Naród wietnamski — pisano w orędziu — pragnie pokoju i nawiązania przyjaznych stosunków z narodem francuskim... stosunków opartych na równouprawnieniu i wzajemnym poszanowaniu”. Dziennik „Liberation” dodawał w komentarzu redakcyjnym:

„Żaden Francuz nie może nie doceniać doniosłości orędzia, w pełni odpowiadającego interesom i pragnieniom ogromnej większości Francuzów”

mirał Rafor. Oddział francuski prezentuje broń.

Tego dnia na polach bitew w Wietnamie poległo wielu ludzi. Marionetkowy cesarz Bao Dai nie wydaje się jednak zmartwiony. Obiad w Saigonie był smaczny.



W górach Zygulewskich nad Wołgą odkryto niedawno złoża cennego kamienia budowlanego, który znajduje szerokie zastosowanie na budowie podstawowych obiektów zapory i elektrowni Kujbyszewskiej. Ekskawatorki na własnym napędzie sforsowały trudno dostępne zbocze, co zaoszczędziło wiele pracy przy demontażu, transporcie i ponownym zmontowaniu maszyn. Eksploatacja nowego złoża trwa. (fot. N. Flinkow)

AKTUALNOŚCI RADZIECKIE



Włodzimierz Obruczew, członek Akademii Nauk ZSRR, jeden z najwybitniejszych geologów współczesnych, obchodził ostatnio 90-lecie urodzin. Sędziwy uczonec jest autorem nie tylko ponad 1000 prac naukowych, ale i trzech powieści fantastycznych dla młodzieży. Na zdjęciu: A. Topczyjew, sekretarz Akademii Nauk ZSRR, i A. Niesmiejjanow, prezes A. N. ZSRR, wręczając jubilatowi adres powitalny Akademii (fot. A. Less).



Hodowcom radzieckim udało się zaaklimatyzować w Kirgizji konie dońskie, dobre zarówno jako zwierzęta pociągowe, jak i konie pod wierzch. Obecnie nad jeziorem Issyk Kul znajduje się kilka stadnin tych koni. „Dończaki” chętnie zatykają kapieł w czystej wodzie górskiego jeziora (fot. I. Korolew).

Sowchoz „Pionier” w obwodzie stalingradzkim zebrał z kilkusethektarowej plantacji wysokie plony znakomitych arbuzów. Na rok przyszły przewidziane jest znaczne rozszerzenie obszaru plantacji — dla lepszego zaopatrzenia rynku i potrzeb przemysłu przetwórczego i konserwowego (fot. A. Maklecow)



ZIELONE TARCZE

EDWARD KARŁOWICZ

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

I

WYSZŁO u nas przed wojną kilka powieści, wybiegających fantazją autora daleko w przyszłość. Przedstawiały one Polskę w roku 2100 czy 2200, malowały ponętny obraz szklanych domów, miast-ogrodów, elektrycznej komunikacji napowietrznej i innych cudów.

Wszystkie one miały jednak jedną istotną wadę: były utopią. Nie uwzględniały ówczesnego kierunku rozwojowego naszego kraju, w którego efekcie Polska w roku 2200 czy 2400 byłaby... pustynią. Po prostu pustynią, z burzami piaskowymi, fata - morgana i tak dalej.

Działy się bowiem u nas rzeczy, które w konsekwencji musiałyby nieuchronnie doprowadzić do zupełnego wyjałowienia powierzchni uprawnych: bezplanowe, rabunkowe niekiedy wycinanie lasów, nieporównanie niski poziom agrotechniki, całkowita obojętność w dziedzinie gospodarki wodnej, brak należytej troski o zalesianie — wszystko to sumowało się, mnożyło, potęgowało — i przeobrażało z wolna nasz kraj w pustynię.

Symptomy tej choroby występowały (i występują jeszcze!) w sposób nader oczywisty. O czymże bowiem świadczy fakt ciągłego zmniejszania się stanu wód w rzekach? O czymże mówi pojawienie się w południowej Wielkopolsce dropi — ptaków charakterystycznych dla fauny stepowej? Czego wreszcie wynikiem są powtarzające się w naszym kraju posuchy?

Dla uzupełnienia obrazu smutnego dziedzictwa można dodać wiele. I wiatry, które więcej szkód wyrządzają, niż kiedykolwiek dawniej. I powodzie, będące skutkiem szybkiego spływu wód wiosennych po bezleśnych przestrzeniach. I przymrozki, znacznie groźniejsze tam, gdzie pól i sadów nie chronią lasy.

II

Tak, tego wszystkiego nie uwzględniały powieści fantastyczne. A proces przekształcania się kraju w pustynię trwał. Nie mogły go powstrzymać chaotyczne, na małą skalę prowadzone próby zalesiania, ani ustawy o ochronie lasów, które właściciel wyrąbał kiedy chciał, choćby za cenę łapówki. Nie mogły tego procesu powstrzymać cząstkowe, od przypadku do przypadku prowadzone prace nad regulacją rzek i tworzeniem zbiorników wodnych. Nie mogła tego procesu zahamować cała gospodarka kapitalistyczna, która w swojej istocie jest zaprzeczeniem świadomej walki człowieka z naturą.

A co się robi teraz?

Zanim do tego przejdziemy, pomyślimy o jednym: prędzej można zbudować wielką fabrykę, niż wyhodować mały las. Łatwiej podwoić wydajność elektrowni, niż zwiększyć o kilka procent ilość wody w rzece. Dlatego w planowej walce o przekształcenie naszego krajobrazu i klimatu nie mamy jeszcze namacalnych osiągnięć w skali MDM-u czy Nowej Huty. Dlatego wiekowe zacośnianie przemysłowe naszego kraju odrobiliśmy w ciągu kilku lat, a nad przeobrażeniem naszej przyrody trudzić się będą dwa pokolenia.

Walka jednak została podjęta — i to na szerokim froncie. Setki uczonych, projektantów, inżynierów, tysiące robotników pracują nad realizacją wielkich planów przeobrażenia naszych rzek. Na tysiącach hektarów wydym i piasków prowadzi się prace zalesieniowe. Odtwarzamy wyniszczony drzewostan w lasach, przeprowadzamy rozległe prace melioracyjne, walczymy o poprawę struktury gleby, o racjonalny płodozmian na użytkach rolnych.

W najbliższej przyszłości włączy się do walki jeszcze jeden sojusznik w wielkiej batalii z groźbą pustyni. Sojusznikiem tym są „zielone tarcze”, osłaniające nasze pola przed ujemnymi skutkami wiatrów, przymrozków, erozji i suszy — pasy leśne.

III

Przed pięciu laty przystąpiono w Związku Radzieckim do zakładania pasów leśnych na olbrzymim obszarze od Uralu do Dniestru, narażonym na palące letnie wiatry z pustyni Azji Centralnej — „suchowieje”. Rozpoczęcie akcji w tej skali musiało być poprzedzone długą i staranną pracą badawczą. Trudno jest teoretycznie obliczyć, jak działa pas leśny na wilgotność powietrza i gleby, na szybkość wiatru i temperaturę, wreszcie na plonowanie roślin, wysiewanych pod osłoną takich pasów. Zbadać to można najłatwiej na istniejących już pasach leśnych. Gdzie je znaleźć?

Znalezi się.

W roku 1891, po straszliwej posusze, rząd carski zezwolił wreszcie na zorganizowanie stacji doświadczalnych. Taką stację stworzył w Kamiennym Stepie znakomity uczonec, Wasyl Dokuczajew. Pasy leśne, założone przez niego 60 lat temu, istnieją do dziś. I one stały się cennym laboratorium, w którym uzyskano potrzebne dane dla prowadzonych sześć lat temu wielkich prac w ZSRR.

A u nas? Korzystamy z radzieckich badań, ale przecież nie możemy mechanicznie przenosić na nasze warunki klimatyczne wyników doświadczeń, dokonywanych w obwodzie woroneskim, w środkowo - południowej Rosji. A któż słyszał o pasach leśnych w Polsce?

Słyszało o nich niewiele ludzi. Znacznie mniej niż o generale Chłapowskim, adiutancie Napoleona i powstańcu z roku 1830. Otóż tenże Dezydery Chłapowski był ponoć niezłym wojakiem, ale z całą pewnością znacznie lepszym rolnikiem. Po klęsce pod Lipskiem nie wrócił on od razu do rodzinnej Turwi w Poznańskiem, ale kilka lat jeździł po zachodniej Europie, studiując pilnie tamtejsze rolnictwo. Po powrocie — być może pod wpływem widzianych w Szkocji żywopłotów przy polach — założył w Turwi pasy leśne, śladem pasów o łącznej długości około 10 kilometrów, o szerokości od 8 do 36 metrów. Były to na pewno pierwsze pasy leśne w Europie środkowej, a przypuszczalnie pierwsze w ogóle w Europie.

Istnieją one do dziś. I są bazą dla doświadczeń, prowadzonych przez Zakład Dendrologii i Pomologii Polskiej Akademii Nauk w Kórniku.

IV

Nie docierają do Polski „suchowieje”, straszliwe letnie wiatry, zrodzone w pustyniach Centralnej Azji. Ale pasy leśne i aleje drzew są nam potrzebne jako czynnik regulujący wilgotność, zmniejszający ujemne skutki wiatrów i przymrozków, zapobiegający erozji gleby.

Przed masowym sadzeniem pasów leśnych należy jednak znać odpowiedź na setki pytań, nasuwających się przy wprowadzaniu tego nowego w rolnictwie czynnika. Jak pasy leśne wpływają na szybkość wiatru? Jak wpływają na temperaturę u powierzchni ziemi? Jakiej szerokości pasy leśne są najkorzystniejsze? Czy cień rzucany przez drzewa powoduje straty w plonach? Czy ptaki, gnieżdżące się w pasach leśnych, żywią się stonką ziemniaczaną? Czy śnieg, tający później w pasach leśnych nie obniża zbyt szybko temperatury? Jakie szkodniki polne żyją w pasach leśnych? Setki, dosłownie setki problemów wymagają dokładnego wyjaśnienia.

Dlatego w Turwi trwają od paru lat intensywne prace badawcze. Przeprowadzane są setki doświadczeń, z wolna gromadzi się cenny materiał.

Doświadczenia bywają udane i nie udane. Ale niekiedy i te ostatnie wnoszą wiele nowego. Wiosną bieżącego roku zasiano w Turwi rzepak na dwóch takich samych polach, z których jedno jest chronione przez pas leśny, a drugie nie. Chodziło o porównanie plonów. Ale któregoś dnia uderzył przymrozek — i popsuł doświadczenie: rzepak na polu nieosłoniętym pasem leśnym — po prostu wymarł...

Wiatr w dużym stopniu „wysusza” rośliny, przyspiesza szybkość parowania. Obliczono, że w naszych warunkach wiatr o szybkości 5 m/sek powoduje

TAK?



Jakże często jeszcze można spotkać w Polsce krajobraz taki, jaki widzimy na górnym zdjęciu! To



dwukrotnie szybsze parowanie roślin niż podczas pogody bezwietrznej. A pasy leśne wydają się osłabiać szybkość wiatru, chroniąc w ten sposób rośliny przed wysychaniem. Oto dane z jednego przykładowego doświadczenia: szybkość wiatru w otwartym polu — 4,18 m/sek; bezpośrednio pod pasem leśnym — 2 m/sek; 50 metrów za pasem leśnym — 0,72 m/sek; 200 metrów za pasem leśnym — 2,3 m/sek. Nie trzeba być wysokiej klasy matematykiem, by zorientować się, w jak wielkim stopniu pasy leśne mogą chronić pola przed suszącym działaniem wiatru.

V

Idziemy równą, jak strzała, aleją. Po bokach — świeżo zaorane pola. Pod nogami szeleszczą suche liście.

— Ostrożnie! — zatrzymuje nas nagle doktor Wilusz.

W darni wycięty jest długi, wąski rowek. W rowku co kilka metrów wkopane są głębokie, metalowe naczynia o kształcie cylindrycznym. To pułapka,



...Niedaleko szosy, ciemniał wykopany kiedyś dół, w którym w dżdżyste dni stała woda. Na skrajach jamy rosną topole



„Resztki stonki ziemniaczanej pod ptasim gniazdem to też ważna wskazówka” — mówi entomolog Pacanowski.



Te pasy leśne w Turwi, w powiecie śremskim, założył sto trzydzieści lat temu generał Dezydery Chłapowski. Dziś są one bazą dla doświadczeń, prowadzonych przez Zakład Dendrologii i Pomologii PAN w Kórniku



smutne dziedzictwo wielu dziesięcioleci zaniedbań, które groziły w konsekwencji przeobrażeniem wielkich połaci kraju w pustynię. Takich krajobrazów nie będzie w Polsce, którą budujemy. Pola, przecięte pasami leśnymi (patrz zdjęcie dolne), chronione przed wiatrem i suszą — to bliska przyszłość rolnictwa. Pracują już nad tym nasi naukowcy.

TAK!



przeznaczona dla żyjących w pasie leśnym drobnych gryzoni.

— Musimy zorientować się, jakie gryzoni w jakich ilościach gnieźdzą się w pasach leśnych — tłumaczy dr Zdzisław Wilusz, który kieruje stacją badawczą w Turwi. — Zakładanie pasów leśnych spowoduje duże zmiany w faunie polnej. Charakter tych zmian jest bardzo ważny dla rolnictwa.

— Czy chodzi o to, by się nie rozmnażały szkodniki?

— Szkodniki, zwierzęta pożyteczne — to są pojęcia bardzo względne. Nornik występujący w bardzo małej ilości, przestaje być właściwie szkodnikiem. Z drugiej zaś strony na przykład krety, uznane za zwierzęta pożyteczne, mogą niekiedy spowodować poważne szkody. I to samo dotyczy wszystkich innych gryzoni. Skrupulatne doświadczenia obalają czasem wiele utartych, ale mylnych pojęć.

Jedno z takich doświadczeń przeprowadził niedawno ornitolog stacji, Stefan Foksowicz. Ten młody entuzjasta swojej pracy skonstruował pomysłowy przyrząd, pozwalający zupełnie dokładnie kontrolować „menu” myszolewów. Uchodzący za pożytecznego ptaka skonsurował w kontrolnym okresie 64 norniki (w sumie około 1 kg), ale jednocześnie zjadł 104 krety (w sumie około 10 kg), nie licząc jeszcze kilku kurcząt... Jakże niewielki zatem pożytek z myszolewa, a jakie poważne szkody!

Innym zakresem badań zajmuje się drugi młody naukowiec, Aleksander Pacanowski. Słynie jako największy w okolicy odbiorca spirytusu i stale domaga się nowych transportów tego płynu. W próbach ze spirytusem zgromadził już wszystkich przedstawicieli świata owadów, jakie mogą występować w pasach leśnych i w pobliżu nich. Szczególnie bogato reprezentowane są szkodniki — ze słonką ziemniaczaną i słodyskiem rzepakowym na czele.

Z tym słodyskiem było wiosną bieżącego roku wiele kłopotów. Bo proszę posłuchać: doświadczenie przeprowadzone 11 kwietnia wykazało, że w pobliżu pasa leśnego jest dziesięciokrotnie mniej egzemplarzy słodyska niż zdaleka od niego. A doświadczenie w dniu 18

kwietnia -- dało wynik wręcz odwrotny.

Sprawa słodyska jest jednym z problemów pasów leśnych, które czekają jeszcze na wyjaśnienie.

VI

Najważniejszym jednak problemem są same pasy leśne, drzewa, które w nich należy sadzić.

Przy czym nie chodzi tylko o pasy, składające się z kilku rzędów drzew, szerokie na 10 do 40 metrów. Ważne są także aleje z pojedynczych drzew, które w pewnym stopniu mogą pasy leśne zastąpić. I jeśli rzeczywiście przeprowadzimy tę akcję na terenie całego kraju, — w grę wejdą już nie tysiące czy setki tysięcy, ale wręcz dziesiątki milionów drzew.

I tu kwestia doboru drzewa dla tych — jak mówią fachowcy — zadrzewień nieleśnych, zaczyna mieć jeszcze jedną stronę: przemysłową. Drewno — to nie tylko opał, zapalki, meble. To także papier i dziesiątki różnych artykułów masowego spożycia, wytwarzanych z celulozy i jej pochodnych — od grzebyków do skarpetek steelonowych.

Potrzebne jest więc drzewo, które daje maksymalny przyrost masy drzewnej. Po to, aby pasy leśne i aleje nie tylko chroniły plony rolnika, ale i były możliwie najobfitszym źródłem surowca dla ludności wiejskiej i przemysłu drzewnego.

— Chłopi sami już dokonali wyboru — mówił dr Wilusz, gdyśmy jechali przez równiny wielkopolskie z Turwi do Kórnik. — Proszę popatrzeć.

Zatrzymaliśmy się na chwilę. Niedaleko szosy, na granicy dwóch pól, ciemniał wykopany kiedyś dół, w którym zapewne w dżdżyste dni stała woda. Na skrajach jamy rosły strzeliste topole, zasadzone ćwierć wieku temu ręką zapobiegliwego gospodarza. Brak dolnych konarów świadczył, że drzewa te dostarczyły już niemało opału swemu właścicielowi.

O wszystkich zaletach topoli i o tym, jak je można spotęgować, dowiedzieliśmy się jednak już później, w zakładzie kórnickim.



Dr Z. Wilusz oprowadza nas po swoim „królestwie” — pasach leśnych w Turwi. Tu wraz z grupą młodych naukowców pracuje nad zbadaniem problemów, związanych z wpływem pasów leśnych na faunę, florę, glebę i klimat pól uprawnych.

ZAPISKI DYPLOMATYCZNE

Jana Hrabiego

STEFAN ARSKI

GDY w roku 1932 pułkownik Józef Beck objął stanowisko ministra spraw zagranicznych, przydano mu w charakterze wiceministra hrabiego Jana Szembeka. Beck — zarozumiały aż do megalomanii, arogancki i butny pułkownik, długoletni oficer drugiego oddziału — wyniesiony przez Piłsudskiego na stanowisko ministra, nie cieszył się sympatią ani uznaniem w kołach dyplomacji europejskiej. Włókł za sobą pamięć paskudnej afery z lat dwudziestych, kiedy to na żądanie rządu francuskiego został odwołany ze stanowiska attaché wojskowego w Paryżu, jako *persona non grata*, bo obciążona zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec. Obecność Jana Szembeka u boku nowego ministra miała złagodzić nieco przykre wrażenie, jakie ta nominacja wywołała. Hrabia Jan Szembek, zawodowy dyplomata starej szkoły, arystokrata o nieskazitelnym manierach, obyty w świecie, obeznany ze zwyczajami i tradycjami burżuazyjnej dyplomacji Zachodu, dobrze w jej kołach widziany, stanowił miły rodzaj buforu między nowym gospodarzem sanacyjnego MSZ-etu a starymi wyjadaczami europejskiej dyplomacji.

Pomiędzy „szefem“ (tak nazywano w kołach MSZ-owych nowego ministra) a jego najbliższym współpracownikiem stosunki układały się nienajlepiej. Beck wszedł do ministerstwa w aureoli ulubieńca Piłsudskiego, męża zaufania dyktatora, człowieka, który nie znośił oporu i któremu nie należało się sprzeciwiać. Przez pierwsze trzy lata był po prostu przekątnikiem woli Piłsudskiego. Wiadomo było, że wszystkie ważniejsze decyzje w sprawach polityki zagranicznej podejmuje despotyczny starzec z Belwederu i zleca je do wykonania swemu byłemu adiutantowi. Od lat traktował Piłsudski Becka jak oficera do specjalnych poruczeń i w tym charakterze wysłał go do MSZ-etu. Chciał tam mieć człowieka bezwzględnie oddanego i bezwarunkowo posłusznego. Takim był wychowany w szkole II oddziału i belwiderskiej adiutancji pułkownik Józef Beck. Totum-factum Piłsudskiego ze swej strony wymagał od podwładnych całkowitego posłuszeństwa i uległości, dyskusji nie znosił, sprzeciwu nie tolerował. Podsekretarz stanu zaś był dlań niczym innym, jak nieco wyżej w hierarchii służbowej postawionym funkcjonariuszem, obowiązującym do wysłuchiwania zleceń i wykonywania ich bez zwłoki i bez dyskusji. Pułkownik traktował swój personel jak pluton podoficerów z cenzurem.

Po śmierci Piłsudskiego Beck zadziera nosa jeszcze wyżej. Uwierzywszy w swą „misję dziejową“, przekonany, że to on właśnie posiada tajemnicę kierowania polityką zagraniczną Polski, jako że mu to tajemnicę wprost i bezpośrednio przekazał zmarły dyktator, namaszczając go niejako swą „charizmą wodza“, Beck wysuwa się na czoło rządzącej kłki sanacyjnej. Jako człowiek cieszący się istotnie zaufaniem Piłsudskiego i przez lata otaczany jego protekcją, zdołał się już umocnić w siodle i w kręgu dygnitarzy sanacyjnych zdobył sobie stanowisko bardzo mocne. Umiejętna polityka personalna w połączeniu z metodami II oddziału, przeniesionymi na grunt MSZ-etu, zręczne zastosowanie intrygi i postrachu sprawiły, iż Beck zdołał w pełni opanować aparat ministerstwa i podległych mu placówek, przekształcając polską służbę zagraniczną w swój folwark, rządzony despotycznie i samowolnie.

W tej atmosferze drylu stary dyplomata i arystokrata, hrabia Szembek, czuł się trochę nieswojo. Wystrzegał się jednak jak ognia najłżejszych oznak niezadowolnienia. Mógł je przypłacić jedynie nielaską „szefa“ i gwałtownym zakończeniem kariery dyplomatycznej. Na to zaś Szembek nie miał ochoty. Nie było w nim nic z człowieka, gotowego walczyć o cokolwiek. Nawet

o swą własną pozycję w ministerialnej hierarchii. Przeobraził się szybko w jednego z owych „podoficerów“, ulegle spełniających rozkazy pana pułkownika. W zaciszu domowych pieleszy marzył tylko o możliwości wymknięcia się spod bezpośredniej władzy „szefa“ i wyjednania sobie przyjemnej i reprezentacyjnej placówki dyplomatycznej, gdzie mógłby w spokoju i sytości dosłużyć się emerytury. Nie było tajemnicą, że Szembek upatrzył sobie ambasadę w Paryżu, jako

miejsce wysłania brakujujących mu do upragnionej emerytury lat. W roku 1936 zdawało się, że jest blisko ziszczenia się utajonych pragnień. Umarł ambasador Chłapowski i Szembek liczył, iż opróżnione stanowisko jemu przypadnie w udziale. Pracował na nie przecież gorliwie od czterech bez mała lat, służył Beckowi wiernie i ulegle. Tym ciężej przeżył doznany zawód. Beck miał swoje plany personalne i ani krztu sentymentu dla cudzych marzeń. Do Paryża poszedł Łukasiewicz. Szembek zdusił w sobie gorczyk zawiedzionych nadziei i zastosował się do starej pruskiej zasady: „Maul halten und weiter dienen“ („stulić pysk i służyć dalej“). Pruskie maksymy były teraz dobrze widziane w gmachu na Wierzbowej. Szembek położył więc uszy po sobie i pozostał, gdzie mu kazano.

Czy podzielał opinie i linię polityczną Becka? Dziennik jego nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości.

Prowadził go Szembek regularnie od 1 stycznia 1935 roku. Z okresu wcześniejszego zachowały się jedynie luźne notatki. Całość zapisków obejmuje parę tysięcy stronic. Prowadził je Szembek systematycznie przez pięć blisko lat. Co dzień po zakończeniu pracy bądź sam zasiał do pisanja, bądź też (częściej) wyręczał się swym osobistym sekretarzem, któremu dawał plik notatek z przebiegu dnia i ten przenosił je na kartki pamiętnika. Ale były to zapiski bardzo osobliwe. Zawierały jedynie suche powtórzenie rozmów, które prowadził Szembek lub które prowadzone były w jego obecności. Szembek nie komentował zdarzeń, nie czynił żadnych uwag ani spostrzeżeń. Po prostu rejestrował to, co usłyszał, lub to, co sam mówił w charakterze dyplomaty i na tym poprzestawał.

Ten charakter dziariusza rzuca niewątpliwie światło na osobowość jego autora. Ale równocześnie czyni z dziennika cenny dokument polityczny. Szembek traktował swoje zapiski jako podręczny notatnik, który ułatwiać miał mu pracę. Siegał doń, ilekroć chciał sobie przypomnieć jakieś fakty, rozmowy czy zlecenia. Nie był to więc pamiętnik przeznaczony do publikacji, obliczony na urabianie opinii publicznej w duchu przychylnym dla autora. Dzięki temu notatki Szembeka nabierają znaczenia dokumentarnego.

Oto wyłania się z kart dziennika Szembeka obraz kierowniczych osobowości okresu sanacyjnego. Oto przemawiają tu one językiem swych poglądów, decyzji i posunięć. Niekiedy trudno uwierzyć, że to się mogło naprawdę dziać. Dziennik Szembeka potwierdza raz jeszcze fakt, że zdrada szła tu w zawody z głupotą. Niekiedy głupota wręcz niewiarygodna. Legenda piłsudczyzny pracownicy osnuła tamte lata pajęczyną bałwochwalczego uwielbienia „wodza“ i jego „wiernej drużyny“. Szembek jednym pociągnięciem pióra rozrywa tę pajęczynę i ukazuje obraz prawdziwych ludzi i prawdziwych stosunków. Legendarne „olbrzymy“ odzyskują rzeczywiste proporcje. Kurczą się do rozmiaru bardzo mizernych ludzi, bardzo niedorastających do powagi sytuacji i wymagań chwili. „Mocarstwowa“ Polska tamtych lat rysuje się na kartkach dziennika Szembeka, jako pionek na szachownicy rozgrywek międzynarodowych, popychany ręką potęg imperialistycznych raz



Hrabia Szembek, zawodowy dyplomata starej szkoły, arystokrata o nieskazitelnym manierach, obeznany ze zwyczajami burżuazyjnej dyplomacji...

Hr. Szembek (w środku) podczas wizyty w Bukareszcie

tych, to znów innych. Strefy kierownicze sanacji zachowują się tak, jakby tego nie dostrzegali. Upajają się ową „mocarstwowością“, zachłystując urojoną potęgą. A jeśli w rzadkim przebiegu zdrowego rozsądku dostrzegają prawdę, starają się wmówić w siebie, a przede wszystkim w innych, że jest inaczej. Ostateczny bilans lat objętych dziennikiem Szembeka jest znany. Zamyka się jednym słowem — wrzesień.

Dziennik pozwala nam prześledzić, krok za krokiem, nieomal dzień za dniem, jak do tego fatalnego wyniku doszło. Gdy go się czyta, z każdą notatką, z każdym zapiskiem nabiera się coraz głębszego przekonania, iż rzadko który w historii wsteczny system polityczny tak nieomyślnie wysuwał na kierownicze stanowiska swych własnych grabarzy. Interes narodowy obcy był: z dawien dawna polskim klasom posiadającym. Polsk — to były dla nich obszarne majątki, pakiety akcji i obligacji, skarbcze bankowe i zyski wyciskane z fabryk, kopalń i hut. To jedno ich obchodziło, o to jedynie dbali. Klika sanacyjna była w ich oczach żandarmem, który potrafił skutecznie trzymać „za mordę“ wszystkich niezadowolonych. Żubry obszarne podejmowały więc entuzjastycznie Piłsudskiego w Nieświeżu, a rekiny z wielokapitałistycznego „Lewiatana“ ufnie powierzały obronę swych interesów generałsko-pułkownikowskiej mafii. Awanturnicze plany Piłsudskiego i Becka, snute po społu z hitlerowcami, podniecały tylko apetyty. Wypieszczone w najtajniejszych snach marzenia o „krucjacie anty-bolszewickiej“ zdawały się oto przybierać realne kształty. A nuż uda się przy tej sposobności odzyskać magnackie włości na Ukrainie, a nuż uda się przy podziale łupu zdobyć „wschodnie rynki“, tanie surowce i niewolników do pracy? Ze znowa z Hitlerem godziła w najżywniejsze interesy narodowe Polski, zagrażała jej niepodległości, zwiastowała katastrofę? Któż w Związku Ziemian i w „Lewiatanie“ za-

Handelsdruckerei Kempten / Augsburg A
K. H. Böhmer, K. H. Böhmer, K. H. Böhmer, K. H. Böhmer
Augsburg A. / Handelsdruckerei Kempten
K. H. Böhmer, K. H. Böhmer, K. H. Böhmer, K. H. Böhmer



Dyktator Niemiec musiał się zdrowo naśmiewać ze swych polskich sojuszników...

Organ Hitlera „Voelkischer Beobachter“ popierał kandydaturę Piłsudskiego do... nagrody pokojowej Nobla

prztał sobie głowę takimi sprawami! Przegnęły na wskroś reżym sanacyjny, wytwór przegnętego do podstaw ustroju kapitalistyczno-feudalnego Polski przedwrześniowej, pędził więc ku przepaści, sterowany dłońmi zdrajców i głupców, do końca ślepych i głuchych na to, co się dzieje, do końca zadufanych w sobie i opętanych manią wielkości.

Parę przykładów.

Kwiecień 1934 roku. Hitler u władzy w Niemczech. Groźba nowej wojny. Niebezpieczeństwo u granic Polski. Związek Radziecki ostrzega świat przed konsekwencjami polityki hitlerizmu. Francuski minister spraw zagranicznych, Barthou, próbuje montować system zbiorowego bezpieczeństwa z udziałem ZSRR. W przejeździe przez Warszawę odwiedza Piłsudskiego. Rozmowa schodzi na tory kluczowego dla Polski problemu politycznego: stosunku do ZSRR z jednej strony a Niemiec hitlerowskich z drugiej. Dyktator polski zbywa sprawę stosunku do ZSRR niewiarygodnym wprost stwierdzeniem: ma zwyczaj tylko dwa razy do roku zajmować się tą sprawą. Nie ma na to więcej czasu... Pozerstwo? Być może. Ale właśnie to charakterystyczne pozerstwo zadufka, cechujące głupców, biegnących na oślep ku przepaści. Jeśli chodzi o hitlerowskie Niemcy, Piłsudski ma dla nich nieco więcej czasu. Jest zresztą zupełnie zadowolony z sytuacji na tym odcinku. Podpisał właśnie pakt z Hitlerem i zapewnia swego rozmówcę, że w stosunkach między Polską a Niemcami „zaszły bardzo duże i bardzo poważne zmiany na lepsze”. Z pewnością siebie głębokiego znawcy zagadnienia rzuca Piłsudski zdecydowany osąd i Szembek notuje wiernie: „Zdaniem Pana Marszałka w Niemczech toczy się teraz walka z tym, co nazywał duchem pruskim”. T e r a z, to znaczy od czasu, gdy Hitler objął władzę. Dyktator Niemiec musiał się zdrowo namśmiewać z opinii swoich polskich sojuszników. On, ustokrotnie ducha pruskiego militarysty, żywe wcielenie „Drang nach Osten”, człowiek, który zapędził w kozi róg Fryderyka Wielkiego i „żelaznego kanclerza” i całe Niemcy podciągnął pod strychulec pruskiego drylu...

Kwiecień roku 1934. Konferencja w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Obecni: minister Beck i wiceminister Szembek, kilkunastu generałów, kilku pułkowników. Wśród nich Rydz Śmigły, Sosnkowski, Kasprycki — główne tuzy sanacyjnego sztabu. Piłsudski otwiera naradę, poświęconą najważniejszemu problemowi polskiej polityki zagranicznej: stosunkom z ZSRR i z Niemcami. W zagajeniu rozwija swą ulubioną tezę, że Polacy są „narodem idiotów”: „Mózgi polskie tego (tzn. problemu stosunków zagranicznych) Polski — St. Ar.) nie rozumieją, mózgi polskie nie umieją patrzeć trzeźwo i rzeczowo. Polak w pogodę i ciepło wyjdzie w futrze — a w mróz i deszcz bez ubrania i z parasolką od słońca. Takich być by należało. System myślenia Polaków jest przerażający...” Na szczęście dla tego umysłowo upośledzonego narodu durniów — dobrotliwy los zesłał mu elitę. Zebrała się właśnie ta elita w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, by za cały naród idiotów rozstrzygnąć pytanie: „Które z tych dwóch państw (tj. Niemiec hitlerowskich i ZSRR — St. Ar.) jest niebezpieczniejsze dla Polski i prędzej niebezpiecznym stać się może?” Dla elity — to fraszka. Coś w rodzaju popularnej wśród dzieci zabawy „A ja sobie stoję w kole i wybieram kogo wolę”. Tak właśnie traktuje sprawę Piłsudski. Macie tu chłopcy zagadkę i, proszę, rozwiążcie ją raz dwa. Tylko nie pomagajcie sobie nawzajem, nie podpowiadajcie, nie ściągajcie. Każdy na własną rękę. A kto nie zgadnie — „dyskwalifikacja”. Marszałek nie ufa jednak tak całkiem swojej doborowej elicie. Na wszelki wypadek podsuwa jej więc połowiczne rozwiązanie zgadywanki. „W dalszym ciągu — notuje Szembek — Marszałek rozważa uzbrojenie tych dwóch krajów i powody, jakie mogą je nakłonić do wystąpienia. Armia i jej rozwój w Niemczech jest tylko jednym z licznych przejawów ideologii hitlerowskiej i to bynajmniej nie z a s a d n i c z y m”. Teraz wiadomo, jakiej odpowiedzi spodziewa się po swych generałach i pułkownikach „wódz”. Beck, jako znający rozwiązanie z góry, zostaje zwolniony od obowiązku wyrażenia swej mózgowicy nad tą zabawną łamigłówką.

Takie to gry i zabawy uprawiano w owe czasy na belwiderskim Olimpie. „Elita” czerpała z nich natchnienie do swej radosnej twórczości i „pogłębiała” swą myśl polityczną. Edukację zaś swą uzupełniała, chłonąc chciwie z krynicy hitlerowskiej mądrości. Nauczycielami byli tu nielada mistrzowie: ekscelencja Wielki Łowczy i Marszałek Rzeszy Goering, ekscelencja Goebbels, ekscelencja von Ribbentrop, a nawet niejaki doktor Hans Frank, z którym już wkrótce bliższą i dłuższą znajomość, za sprawą „elity” sanacyjnej, zawrzeć miał, niestety, cały naród polski.

Szembek wiernie odtwarza niezapomniane chwile uroczystych spotkań z hitlerowskimi dostojnikami, pilnie notuje ich nauki i wskazania, stara się nie uronić ani słowa. Wytrawny dyplomata, przyczyniony wymaganiami swego „szefa”, wie, że będą mu one drogowskazem w pracy na długie lata, cenniejszym często niż instrukcje Becka, bo zaczerpniętym z pierwszej ręki, wprost u źródła...

Na!szy ciąg nastąpi

FRITZA JAEDICKE

WYPRAWA PO „ZŁOTE RUNO”

NAZYWA się Fritz Jaedicke, urodzony 23 października 1901 r., ostatnio zamieszkały w Berlinie wschodnim Simon-Dachstrasse 46, do niedawna zatrudniony na budowie teatru państwowego przy Chausseestrasse 28. Fritz Jaedicke, bohater najnowszej prowokacji hitlerowskiej, „ofiara czerwonego terroru” — jak przez kilka dni wrzeszczała reakcyjna prasa. Nie tylko w Berlinie zachodnim, ale w całym adenauerowskim państwie bońskim, w Nowym Jorku, Londynie, Rzymie i innych stolicach „wolnego (od prawdy) świata”.

A oto „prawdziwa” historia straszliwych przygód Fritza Jaedicke, jego własnymi słowami opowiedziana i ogłoszona przez neo-hitlerowską szmatę IBZ (Illustrierte Berliner Zeitung) w nr 43 z dnia 17 października 1953 roku:

„19 czerwca między godz. 9 a 10 rano zabrano mnie z budowy przez policję i przewieziono do Magerviehof w Lichtenbergu... Było tam wielu aresztowanych. Wzywani na przesłuchanie musieli zgłaszać się obnażeni do pasa... 23 czerwca rano wywołano moje nazwisko. Rozebrałem się i poszedłem na przesłuchanie. W pokoju, dokąd mnie zaprowadzono, stało tylko biurko i kilka krzeseł. Za stołem siedział gruby cywil w kurcie wojskowego kroju. Za nim stało dwóch policjantów ludowych.

Kazali mi stanąć z podniesionymi rękami, twarzą do ściany. Gdy nie odpowiadałem na pytania, zaczęli mnie bić. Potem gruby złapał z biurka naczynie, w którym znajdowała się jakaś brunatna ciecz. Tą cieczą posmarował moje lewe przedramię; w tym miejscu skóra natychmiast zaczęła się „gotować”. Powstały pęcherze, które powodowały straszliwe bóle. Czułem się, jakby mnie obiano kwasem solnym... I tak dalej, i tak dalej, przez trzy stronicę dłużej się opowieść o „czerwonym terrorze”.

A teraz dalszy ciąg przygód, według sensacyjnych opisów reakcyjnej prasy. Jaedicke, po zwolnieniu z aresztu, zgłasza się 13 lipca do szpitala Bethanien w zachodnim Berlinie. Tam już czeka na niego skrzętnie przygotowane zaświadczenie (ze stażowanym podpisem lekarza naczelnego, dr Saengera), stwierdzające „Istnienie śladów oparzenia III stopnia”. Z tym urzędowym dokumentem „ofiara czerwonego terroru” udaje się na Kuno-Fischerstrasse, gdzie mieści się centrala hitlerowskich prowokatorów i szpiegów i gdzie Jaedicke z honorami przyjęty jest przez swych opiekunów. Ale nowa prowokacja nie została jeszcze dostatecznie przygotowana. Sztab ministra szpiegostwa i prowokacji, Jakuba Kaisera, przez długie trzy miesiące czekał musi na sygnał swych amerykańskich panów. Wreszcie szefowie z amerykańskiego wywiadu dali znak. I nagle rozszczękała się cała sfera hitlerowskich pismaków: „Nieludzkie tortury w SSD” — wrzeszczy Tagesspiegel, „Jakby gotowała się skóra” (Telegraf), „Sprawa dla ONZ” (IBZ), „Torturowanie przy pomocy kwasu solnego” (Die Neue Zeitung)... Fritz Jaedicke pokazuje „ślady tortur” zgromadzonemu na konferencji prasowej dziennikarzom... Hanna Reuter, wdowa po burmistrzu zachodniego Berlina, przynosi Jaedickemu owoce oraz zaopatrzoną w autograf fotografii swego zmarłego męża... do toż „ofiary” płyną pieniądze, paczki z odzieżą, żywnością, drogiemi winami... jakaś leciwa matrona składa mu ofertę matrymonialną... magistrat zachodniego Berlina, w którym 300 tysięcy pozbawionych dachu nad głową mieszkańców żyje w bunkrach, dziurawych barakach i zrujnowanych halach fabrycznych — przyznaje „ofierze terroru” kompletnie umeblowane mieszkanie... Bowiem Fritz Jaedicke, wykonując plan opracowany wspólnie przez amerykańskich i hitlerowskich prowokatorów postanawia wykorzystać sytuację i organizuje, na własną już rękę, „wyprawę po złote runo” — jak to określił jeden z zachodniowieckich tygodników.

Przez kilka dni trwała „sensacja”. Prasa zachodnioberlińska zachłystywała się opisem „tortur stosowanych przez czerwonych”. Aż nagle rozdęty balon prowokacji pękł z trzaskiem, a zza lichej dekoracji wyjrzała prawda. A prawda jest następująca:

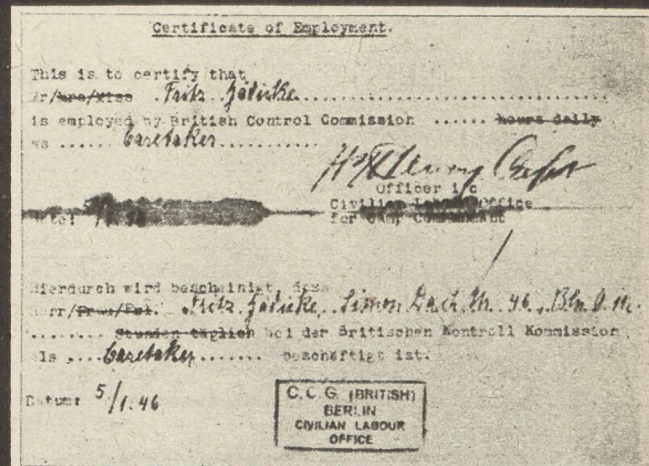
Fritz Jaedicke, to notoryczny pijak i wielokrotnie karany kryminalista (akta Nr 95 Dls 272.50 w berlińskim sądzie w Tiergartenie notują przed i powojenne kary więzienia, jakie wielokrotnie odsiadywał Jaedicke za kradzieże i napady). Ale kryminalna przeszłość „ofiary” to nie wszystko. Jak potwierdza reprodukowany przez nas dokument, Jaedicke już od roku 1946 pozostawał na usługach okupantów. Najpierw angielskiego, a od roku 1952 — amerykańskiego wywiadu. Z jego to polecenia Fritz Jaedicke był jednym z prowodyrów berlińskiej prowokacji 17 czerwca br.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Okazuje się bowiem, że po wypadkach czerwcowych Jaedicke wcale nie był aresztowany. Jak zeznają jego towarzysze pracy — Franz Krystossek, Daenner, Kasper, Hirschel, brygadier Bruno Staudé — „Jaedicke tylko 17 i 18 czerwca był nieobecny na budowie, 19 czerwca stawiał się z powrotem do pracy i nie opuszczał jej aż do 10 lipca. Dopiero potem zniknął”. Zniknął, bo na Kuno-Fischerstrasse postanowiono użyć go za narzędzie nowej prowokacji.

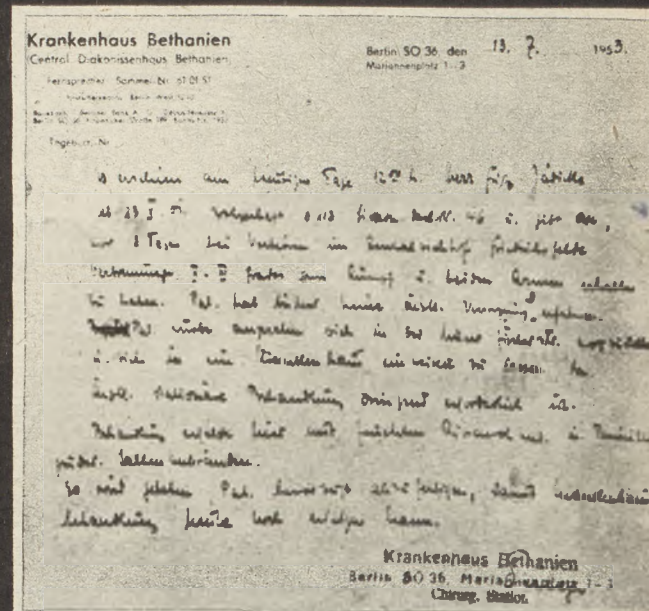
Jeśli zaś chodzi o sine plamy na ciele „ofiary czerwonego terroru”, to pochodzą one od przypalania łapsem. Prof. dr Radetzky, dyrektor Kliniki Chorób Zawodowych, stwierdza: „Przed kilkoma miesiącami Jaedicke zgłosił się do kliniki skarżąc się na chorobę skórą, wywołaną zatruciem ołowiem. W czasie kuracji chory leczony był także roztworem azotanu srebra (lapis), który pozostawia ciemnosine zmiany skóry”.

Pod nawatem faktów i dokumentów w ciągu niewielu dni zawałił się zmundnie przygotowany plan hitlerowskiej prowokacji. A Fritz Jaedicke „wyprawa po złote runo” zakończyła się w zachodnioberlińskim więzieniu.

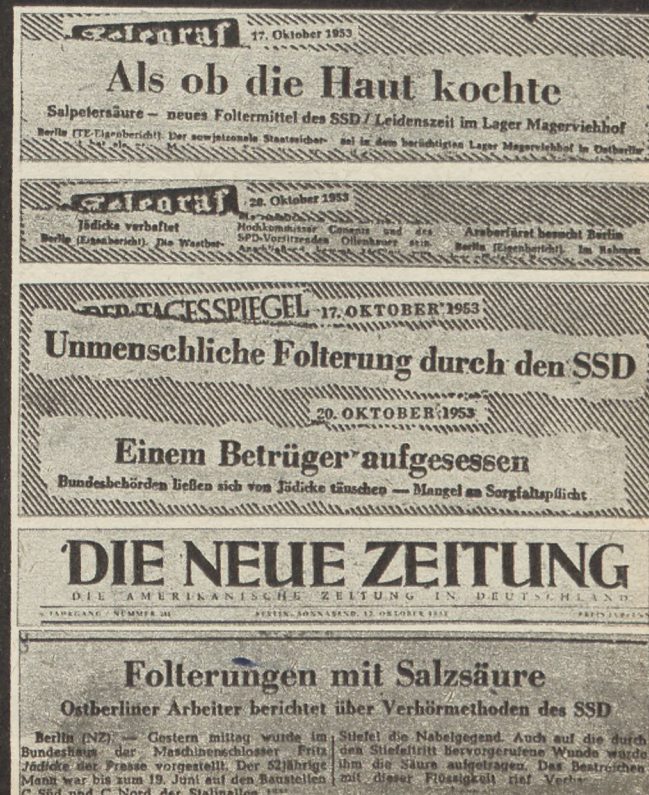
JÓZEF SOLTYS



Fritz Jaedicke — „ofiara czerwonego terroru” — już od roku 1946 pozostawał na usługach okupantów



Zaświadczenie wydane Fritzowi Jaedicke przez szpital Bethanien ze stażowanym podpisem dra Saengera



SŁOŃCE PRZESTAŁO ŚWIECIĆ W CZWARTEK

Reggio Calabria, listopad 1953 r.

NIEBO w Rzymie było zupełnie czyste. Od trzech tygodni najmniejsza chmurka nie zamąciła błękitu. Muliście ślady powodzi, jaka przed paru tygodniami przekształciła miasto w burzliwe morze, skręcone zostały usunięte z centralnych ulic i placów. I nagle dalekopisy przyniosły tragiczną wiadomość: „Straszliwa katastrofa w Kalabrii. Pięćdziesiąt osób zabitych“. W ciągu kilku godzin liczba ofiar przekroczyła sto. Dzienniki wieczorne wielkimi tytułami krzyczały o „ofiara katastrofy“. Ludzie przystawali zdumieni. O jaką katastrofę tu chodzi? Trzęsienie ziemi? Czy też od wieków nieczynny wulkan ożył nagle i strumienie śmiertelnej lawy sieją spustoszenie? Lub może zderzyły się dwa pojęcia — wypadek tak częsty we Włoszech?

Nie podobnego: straszliwą katastrofę, która wstrząsnęła całym krajem, spowodował deszcz. Zwykły deszcz, o jaki jakże często modlą się chłopcy w wiecznie łaknącej wody Kalabrii. Nie straszliwa burza, nie trąba powietrzna, nie niszczący cyklon, lecz zwykły ulewny deszcz, od którego nabrzmiały rzeki i strumienie poprzerywały mizerne groble i tamy; deszcz, który przekształcił krajobraz kalabryjski w błotniste ugory, lepkie i cuchnące; nabrzmiała wodą ziemia rozstępowała się i zapadała,

a solidne, murowane budynki, kościoły i całe wsie rozsypywały się jak domki z kart.

Na pół wyschłe strumyki La Verda, Bonamica, Carreri, Fortigliola, Vecale, Armo, Valanidi, Menga — w ciągu niewielu minut przekształciły się w rozszalałe rzeki, przerywając od lat nie naprawiane groble i tamy, zrywając mosty i akwedukty, niszcząc domy, drogi i pola. Miasteczka i osady Motta San Giovanni, Melito di Sorrento, Elia, Saline, Varcojonico, Melito Portosalvo — odcięte zostały od świata. Dzieśiątki miast i wsi pozbawione zostały wody do picia wskutek zniszczenia akweduktów. Tysiące hektarów uprawnej ziemi zamieniły się w błotniste moczary. A wszystko spowodował zwykły, choć ulewny deszcz...

KOTEK MARIZY GIRMENO

Mariza Girmeno ma niecałe trzy lata. Zawinięta w grubą chustę siedzi na podłodze i wielkimi, smutnymi oczyma spogląda na otaczających ją ludzi, którzy uśmiechają się do niej przez łzy. Mariza Girmeno jest sierotą; fale Armo, na pół wyschłego strumyka, w którym jeszcze niedawno beztrudno brodziła, pozbawiły ją domu, rodziców i pięciu siostr. Z całej rodziny nie uratował się poza małą Marizą nikt, nawet zwłok nie odnaleziono. „Słońce przestało świecić w czwartek“ — mówi Mariza i kurczowo tuli do piersi małego, szarego kotka, jedyny skarb, jaki zdołała uratować.

W czwartek, 22 października, słońce przestało świecić, a ulewny deszcz w ciągu kilku minut przekształcił niktę strumyki w wezbrane rzeki. Wioska Saracinello w ciągu paru sekund znik-

nęła z powierzchni ziemi, zmyta przez rozszalałe fale Armo. W mrokach nocy rozgrywały się dantejskie sceny: krzyki przerażonych ludzi i płacz dzieci mieszały się z ponurym rykiem krów, bekiem oszalałych ze strachu kóz i straszliwym szumem rozszalałego żywiołu. Jedynie błyskawice oświeślały tragiczny obraz, jaki tej nocy przedstawiała kalabryjska ziemia.

A gdy znów wyjrzało słońce, w Saracinello nie było ani śladu ludzkiego życia: domy i drzewa, drogi i płony — wszystko pochłonęła woda; nie było nawet mlejsca, gdzieby można pochować ofiary katastrofy: ziemia wokół zamieniła się w grząskie, lepkie błoto, w którym tonęło wszystko. Jedynie istoty, które przeżyły potop w Saracinello — to małeńka Mariza Girmeno i tulący się do niej brudny, wychudzony kotek.

ZÓŁTO - BIAŁY SZTANDAR
„MIŁOŚCI BLIŹNIEGO“

Reggio Calabria stała się w tych dniach wyspą ratowniczą dla tysięcy mieszkańców dotkniętej powodzią Kalabrii. Na placu przed kościołem powiewa żółto-biała chorągiew Watykanu. Wokół obozują pod gołym niebem tysiące ludzi. „Będą dawali dzisiaj zupe“. — „Nie, będą wydawali kocy“. — „Nie, oni chcą zabrać nam nasze dzieci i zamknąć je w klasztorach“.

Ostatnie słowa wywołują niepokój. Ojcowie i matki przyciągają do siebie dzieci. „Nigdy ich im nie oddamy. Nigdy. W tym nieszczęściu chcą nam zabrać to ostatnie, co nam zostało. Nigdy“. Dwa wielkie autobusy „Akcji Katolickiej“, które miały zabrać dzieci, odjeżdżają puste...

Teraz zaczyna się wydawanie gorącej strawy. Wszyscy się tłoczą, krzyczą, powoli tworzy się długa kolejka. Ale tylko co

dziesiąty, piętnasty dostaje miskę zupy. Koło księdza stoi jakiś człowiek i udziela informacji o politycznej orientacji nieszczęśliwych. Powie „bravo“ — w porządku — i wybrany dostaje łyżkę gorącej zupy; powie „no“ — a politycznie podejrzany odchodzi z niczym.

Człowiek, który stoi obok księdza, był za czasów Mussoliniego faszystą. Dzisiaj, jako zaufany Watykanu, wykorzystuje nędzę ludzką do swych politycznych rozgrywek.

OFIARY POWODZI OSKARZAJĄ

22 razy w ciągu ostatnich ośmiu lat Włochy nawiedzone były przez powódź. Posłowie partii postępowych w parlamencie niezliczoną ilość razy zwracali się do rządu, domagając się przeprowadzenia regulacji rzek, naprawy i budowy grobli oraz tam.

Obecnie powódź objęła cały kraj, Lombardię i Ligurię, Romanię i Kalabrię. Wystąpiły z brzegów rzeki Oglio, Pad i Adyga, wezbrany Tybr zalał niektóre części Rzymu, zatopione zostały ruiny starożytnego portu w Ostii. Blisko 200 ofiar śmiertelnych, 20 tysięcy osób pozbawionych dachu nad głową, setki zerwanych mostów, dziesiątki kilometrów podmytych dróg i torów kolejowych, sto miliardów lirów strat — oto tragiczny bilans zbrodniczej polityki chadeckiego rządu. Tego rządu, który w ciągu ostatnich pięciu lat wydał na zbrojenia 3400 miliardów lirów, a nie znalazł na-

W ostatnich dniach października Kalabria była widowiskiem dantejskich scen. Wezbrane na skutek deszczu rzeki porywały ludzi i zwierzęta. Fale oddawały już tylko zwłoki



Następnego dnia po strasznej katastrofie drogi do Reggio Calabria zapelnily się tłumami. Drugi już raz w tym roku mieszkańcy Kalabrii porzucają swoje domostwa, uchodzą



Wet jednego miliarda lirów na zabezpieczenie kraju przed klęską stałych powodzi. W Związku Radzieckim nieznane są dziś klęski żywiołowe. Olbrzymie budownictwo socjalistyczne przeobraziło pustynie w kwitnące ogrody, a burzliwe rzeki w potężne źródło energii elektrycznej, w służbę i przyjaciela człowieka. W Chinach Ludowych przeprowadza się prace regulacyjne na rzece Huai na długości 1800 kilometrów, a więc więcej niż wynosi długość całego Półwyspu Apenińskiego. W Związku Radzieckim, w Chinach Ludowych, w krajach demokracji ludowej i NRD, od Łaby do Nankinu, trwa wielka pokojowa praca nad przeobrażeniem przyrody, nad zabezpieczeniem milionów ludzi przed klęskami żywiołowymi, nad poprawą warunków życia mas pracujących.

Inaczej jest w kraju, w którym lud walczy dopiero o władzę. Rząd włoski zawsze znajdzie miliardy na nakazane mu przez Amerykanów zbrojenia, a nie może znaleźć milionów na zabezpieczenie narodu przed klęską powodzi.

Nad Włochami znów świeci słońce: oświetla ono zniszczone wioski i miasta, rozmyte pola i drogi, zerwane mosty i proste, czarne trumny, w których niesione są cmentarz zwłoki ofiar powodzi. Oświetla nędzę i nieszczęście, w jakie wpędziła naród włoski zbrodnia polityka chadeckiego rządu.

Włochów z terenów objętych powodzią przed groźbą rozszalonego żywiołu



Namokła od deszczu ziemia zmienia się w lepkie, cuchnące błoto. Solidne, murowane domy, kościoły i całe wsie rozpadały się jak domki z kart. W San Gregorio rozszalały żywioł porwał na oczach zrozpaczonej matki, Cateriny Zoccoli, jej troje dzieci.

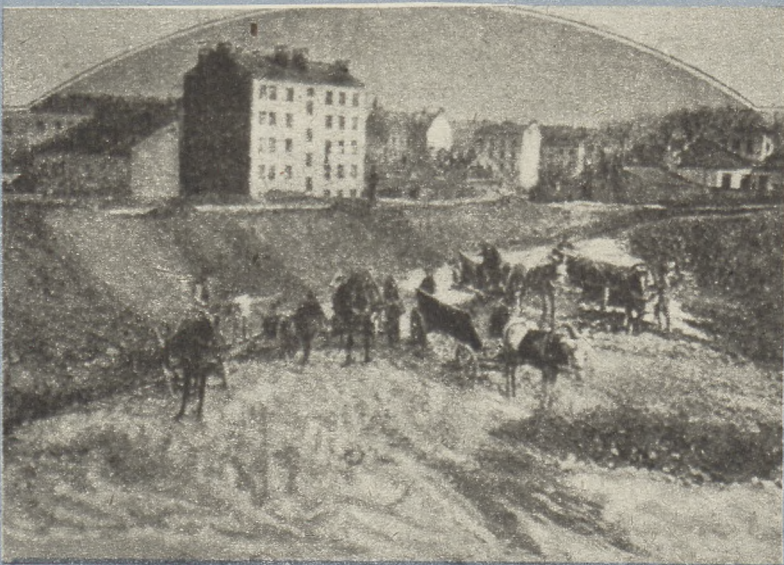
Most kolejowy łączący Reggio Calabria z Catanzaro został dosłownie wymyty przez falę. Setki zburzonych mostów, dziesiątki kilometrów rozmytych dróg i torów kolejowych, sto miliardów lirów strat — oto bilans zbrodniczej polityki chadeckiego rządu.



TRZECIA STOLICA IMPER

TADEUSZ RADWAŃSKI

OBRAZKI Z WARSZAWY PRZED 50 LATY



Zasypywanie dołów przy ulicy Karowej.



Rozdawnictwo żywności ubogim.



Zbieg ulic Marszałkowskiej i Mokotowskiej (obecny plac Zbawiciela).

Zdjęcia z „Tygodnika Ilustrowanego”

L

ATA, bezpośrednio poprzedzając wojnę rosyjsko-japońską, były okresem najwyższego rozwoju imperializmu carskiego. Aczkolwiek mocno krępowany w swym rozwoju przez wiele większe niż w Europie zachodniej pozostałości feudalizmu, miał on potężny rozmach, nie ustępujący innym mocarstwom imperialistycznym świata.

W bujnej jego ekspansji, skierowanej głównie na Daleki Wschód, przypadła mu w udziale część Polski odgrywała rolę bynajmniej nie poślednią. Polskie klasy posiadające brały bardzo znaczny udział w rozbudowie potęgi imperializmu carskiego. Zarówno magnaci-obszarnicy, którzy woleli zakładać ogromne gorzelnie i cukrownie w Mandżurii niż w Polsce, jak magnaci przemysłowi, zakładający w Azji środkowej plantacje bawełny, jak wreszcie — i w największej mierze — magnaci finansowi — Jan Bloch, który dyktował carowi Mikołajowi Ostatniemu jego słynną haską inicjatywę „pokojową”, baron Leopold Kronenberg, z którego biur wyszedł „wszechwładny” swego czasu minister finansów i premier ministrów carskich, Witte, autor „manifestu konstytucyjnego” z października 1905 roku, i inni. Na czele największych trustów imperium carskiego — Prodigol i Prodame-ta — stał, jako dyrektor techniczny, Polak, inżynier Jasiukowicz (który był m. in. jednym z głównych założycieli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego); Polak, Hipolit Gliwic, był naczelnym redaktorem centralnego organu tych trustów, miesięcznika „Torgowla i Promyszlennost”.

„Trzeźwy” kosmopolityzm tych panów znakomicie łączył się z sentymentalnym i romantycznym nacjonalizmem polskim. Woleli oni miód kasztelański Wróblewskiego niż najsmakowitsze kwasy petersburskie Kalinkina lub Moskiewskiej Triochgornoj czy Łanina; wódki gatunkowe Rektyfikacji Warszawskiej lub Dystylarni Jankowskiego od Carskowo Stołowowo wina z białą główką i złożonym dartym orłem. Panie ich zamawiały pantofelki bezwarunkowo u Wróbla na Placu Bankowym (dziś Plac Dzierżyńskiego), nawet gdy — przejeżdżając z Petersburga do Paryża — nie miały czasu osobiście zatrzymać się w Warszawie. (Nie było potrzeby — w sklepie Wróbla stała na półkach ogromna kolekcja kopytek do pantofelków wszystkich niemal pań z polsko-carskiej arystokracji).

Cała ta elita kochała swą ściślejszą ojczyznę przynajmniej na odległość. Poza wspomnianymi dobrami bezpośredniego użytku, Warszawa zapewniała jej doskonałą lokatę kapitału w czynszowym budownictwie mieszkaniowym.

Warszawa miała liczne zastępy pierwszorzędných murarzy i innych wyspecjalizowanych robotników budowlanych, jako też i architektów, stojących na najwyższym poziomie ówczesnej techniki budowlanej i artystycznej.

Nie wykwalifikowanej siły roboczej dostarczała na zawołanie głodniejąca coraz to bardziej wieś polska. Dziewczęta z Biłgorajskiego i przyległych okolic feudalnej Zamojszczyzny — słynne „czarnoszyje” — nosiły po chwiejących się drabinach i kładkach rusztowań cegłę. One też przeważnie gracały wapno na zaprawę murarską. Brak jakiegokolwiek możliwości awansu społecznego dla tej potwornie wyzyskiwanej pomocniczej siły roboczej miał swoistą dobrą stronę z punktu widzenia wykwalifikowanych robotników przemysłu budowlanego. Nie można było w żaden sposób użyć tej, zupełnie nie uczzonej fachu pomocy budowlanej, za łami-strajków. Nie było też nigdzie na wsi polskiej w carskim zaborze murarzy: magnateria od dawna już nie budowała sobie nowych rezydencji pałacowych, średnia szlachta — nawet jeżeli nie była „na wylocie” ze swych folwarków — nie mogła marzyć o budowaniu murowanych dworów, chłop, gdy mu się spaliła stara chałupa drewniana, w najlepszym razie lepił sobie sam nową z gliny ze słomą lub trzcina, co najwyżej na niewymyślniej „podmurówce” z kamienia polnego, gdy był takowy w okolicy.

Robotników budowlanych Warszawy nękało przymusowe kilkumiesięczne bezrobocie rok w rok, lecz kapitał nie posiadał do swego rozporządzenia w przemyśle budowlanym żadnej rezerwowej armii bezrobotnych, gdy miał jej potrzebę w sezonie.

Trzymaniu robotników „w ryzach” sprzyjał zarówno brak dużej organizacji robotniczej, jak i terror władz policyjnych opiekuńczego caratu. Pod tym ostatnim względem Warszawa, jako trzecia stolica imperium carskiego, była zawsze szczególnie uprzywilejowana: musiał panować w niej „wzorowy porządek”, niegorszy niż w pierwszej stolicy — Sankt Petersburgu. Przecież najmłodszy panujący Imperator i Samodzierzca nie tylko przyjeżdżał na polowania do Białowieży i Spały, lecz zaszczylił i samą Warszawę swą wizytą niezadługo po swej koronacji w Moskwie, nie żywiąc żalu za despekt, którego wina spadała właśnie na Warszawę.

Jest to dość charakterystyczny fakt historyczny, dotychczas bodaj nigdy i nigdzie nie opublikowany. Mianowicie z ramienia dworu londyńskiego miał reprezentować na tej koronacji Wielką Brytanię ówczesny książę Walii, późniejszy król Edward VII. Lecz na uroczystość koronacyjną do Soboru się nie zjawił, zagrawszy się szczęśliwie w karty, przy czym od syna warszawskiego bankiera Welisza wygrał, jak się ten ostatni głośno po całej Warszawie przechwalał, pół miliona rubelków gotówką.

Mikołaj Drugi a zarazem Ostatni nigdy tego swemu kuzynowi Edziowi nie przebaczył. Warszawie jednak pośrednią jej „winę” darował wspańiałomyślnie, obdarzając ją w szczególności najbardziej doborowymi oberpolicmajstrami spośród arystokratycznych junkrów nadbałtyckich.

Jeden z tych znakomitych dostojników policyjnych — pierwszy, jakiego pamię-

tam, nie bardzo się udał. Skompromitował go bowiem fatalnie słynny kłown cyrkowy — rzeczywista znakomitość, bez żadnej ironii — Durow.

Przybywszy do Warszawy na gościnne występy w cyrku Ciniselli na Okólniku przy Dynasach, Durow wywołał niebywałą sensację pokazem swych wspaniałych świń tresowanych.

Przedstawienie się zaczyna. Durow woła: — „Maluśki, maluśki!“ Na arenę wybiega średniej wielkości piękne różowe prosię w czapraku, z czapką kroju wojskowego pomiędzy uszami.

Durow daje swemu pupilowi okazałą marchew, z aprobatą głaszcze po wesoło podniesionym ryju i wyprawia z powrotem do stajen cyrkowych. Następnie woła jeszcze śpiewniej, lecz już — nie wiadomo na razie czemu — po niemiecku: — „groesser“. Na arenę wbiega znacznie większy okaz tegoż rodzaju zoologicznego, odziany już nie w czaprak, lecz w cały mundur ze spodniami, bluzą, przepasaną rzemieniem pasem, co widocznie krępuje jego ruchy, zdradzające przy tym dość znaczną chwiejność. Durow jest jak gdyby niezdecydowany. To kiwa głową, to kręci nią, wreszcie podaje przebiegającemu obok niego wieprzakowi dużą brukiew, skwapliwie pochwyconą i uniesioną z areny.

Durow marszczy brwi i pochyla głowę. Po chwili podnosi się i krzyczy na cały głos, ostrym rozkazującym tonem: „Gresser!“ Na to wezwanie wbiega ogromna, tłusta świnia w galowym generalskim mundurze na szkarłatnej podszewce, w wielkiej czapce z generalskim lampasem, spod której zwisają olbrzymie oklapłe uszy. Świnia biegnie cwałem, przewalając się z boku na bok, najwidoczniej zupełnie pijana. Cyrkiem wstrząsa ogłuszający wybuch homerycznego śmiechu. Durow kręci głową, składa skrzyżowane ręce na piersiach i, rozkładając je z gestem przeprosinowym, pochyla się w niskim ukłonie w stronę łoża oberpolicmajstra Gressera.

Tejże nocy Durow został administracyjnie wydany z Warszawy.

Wypadło też jednak niemal niezwłocznie opuścić Warszawę beznadziejnie skompromitowanemu generałowi policyjnemu.

Nastąpił po nim inny Niemiec nadbałtycki, Kleigels. Ten prezentował się jeszcze okazalej niż jego poprzednik Gresser. Pijanym, o ile mi wiadomo, nikt go w żadnym miejscu publicznym nie oglądał. A dawał się oglądać często i gęsto, we wszystkich dzielnicach miasta, z nadzwyczajną służbiestnością dbając o wygląd zewnętrzny powierzzonej mu troskliwej baczności „trzeciej stolicy imperium“.

W swej służbiestności był wzorowo „dżentelmeński“ a nieubłagane surowy, wychowując w tym stylu całą policję warszawską. Zdarzyło mi się kiedyś oglądać na własne oczy dość drastyczny przykład metod wychowawczych generała Kleigelsa.

Działo się to przy zbiegu ulicy Mazowieckiej z ulicą zwaną podówczas ulicą hrabiego Berga, a dziś ulicą Traugutta. Przejeżdżając tamtędy powozem, zaprzężonym w parę wspaniałych angielskich folblutów, oberpolicmajster Kleigels dostrzegł na lśniącej jak szkło asfaltowym bruku sporą kupkę końskich jablek. Kazał swemu furmanowi zatrzymać konie. Wstał w powozie i zakomenderował: „Zawołaj stróża!“ Komenda była już zbyteczna. Przerażony śmiertelnie dozorca biegł już do uprzątnięcia pozostawionego przez jakiś pojazd upominku.

Oberpolicmajster zatrzymał jego zapal komendą: „Zostaw to! Zawołaj stójkowego“. Po paru chwilach przybiegł zadyszany policjant, zasalutował, pochwycił leżącą na jezdni miotłę i śmietniczkę, lecz znów z kolei został zatrzymany komendą: „Zostaw to! Zawołaj rewirowego“.

Na chodniku zebrała się już gromadka ciekawych widzów... Po chwili przybiega, zasapany do niemożliwości, podoficer policyjny, pręży się, salutuje i schyla po miotłę. Znów brzmi groźnie: „Zostaw to! Zawołaj komisarza“.

Gromadka widzów jest już znaczna, trzyma się wszelako w bezpiecznej odległości. Komisarz przysapował parokonną dorożką, dla pewności wyskoczywszy z niej w biegu, aby powitać swą władzę naczelną pieszo. Zasalutował. — „Proszę was sprzątnąć to niezwłocznie i pouczyć swych podwładnych, jak się to robić powinno“.

Trzęsący się, jak w febrze oficer policyjny zmiotł końskie łajno na śmietniczkę i zaniósł do pobliskiej skrzyni, wytrząsnął i oddał rewirowemu, ten z kolei stójkowemu, a ten wreszcie dozorczy domu. Wszystko to odbywało się w milczeniu, podkreślanym przez nie dający się stłumić chichot widzów sceny. Kleigels przez cały czas stał w powozie, obserwując bacznie swych podwładnych, po czym oświadczył chłodno: „Bardzo dobrze. Teraz wszystko jest w porządku“ i kazał swemu woźnicy ruszać dalej. Co się działo następnie bez świadków w głębi podwórza i w lokalu cyrku policyjnego wyobrazić sobie nie trudno.

Ja nie potrzebowałem sobie tego wyobrażać. Była to moja okolica, przechodziłem tamtędy codziennie przez wiele lat. W pobliżu bowiem znajdowało się, tuż przy kościele Świętego Krzyża, moje III gimnazjum, pospolicie zwane „polskim“ z tego względu, że nie przyjmowano do niego uczniów wyznania prawosławnego. Przez kilka dni następnych miałem sposobność oglądania żalosnej prezencji trzech mimowolnych aktorów zaaranżowanego przez oberpolicmajstra Kleigelsa pokazu jego metod wychowawczych — dozorczy domu, stójkowego i rewirowego. Wszyscy mieli podwiązane twarze z ledwie widocznymi szparami oczu.

Ironia losu, a raczej normalny dialektyczny rozwój wypadków sprawił, że tego nieporównanego propagatora najbardziej wzorowych junkierskich metod hierarchicznego wpajania szacunku dla władzy splantowali do gruntu w jego własnej urzędowej rezydencji — w Ratuszu na Placu Teatralnym — strajkujący muryarze warszawscy.

DOKOŃCZENIE NASTĄPI

FEDERICO GARCIA LORCA

Federico Garcia Lorca, wielki poeta hiszpański, urodził się w pobliżu Granady w roku 1898, zginął w roku 1936. W ciągu swego krótkiego życia napisał kilka dramatów i komedii („Krwawe Gody“, „Yerma“, „Dom Bernardy Alba“, „Panna Rosita“) oraz wydał kilka tomów poezji: „Śpiew andaluzyjski“, „Księga wierszy“, „Pieśń“, „Romance cygańskie“ i in.

W dniu 6 sierpnia 1936 roku zabito poetę na drodze wiodącej do Granady. Zamordowali go frankistowskie zbrodniarstwo.

Przez śmierć Lorci Hiszpania utraciła swego największego poetę ostatnich czasów.

Po zamordowaniu poety faszyści spalili jego książki na placu Carmen w Granadzie. Ale pomieniom wzniesionym przez zbrodnicze ręce nie udało się strawić tej poezji. Stosy na placu Carmen dawno zgasły, a Federico Garcia Lorca i jego twórczość żyją w sercach hiszpańskiego ludu.

Drukowane niżej wiersze wyjęte zostały ze zbioru p.t. „Śpiew andaluzyjski“.

Przełożył: J. FICOWSKI

JUAN BREVA



Miał Juan Brev
ciało olbrzyma,
a głosem dziewczynki śpiewał.
Tryl jego brzmiał najpiękniej.
I dzwonił żywy
żał w jego pieśni,
który uśmiechem okrywał.
Wtedy Malaga wśród cytryn
uśpiona przed nami rośła
i był w jego płakaniu
morskiej soli posmak.
On jak Homer śpiewał pieśni,
ślepy. Już nie śpiewa więcej.
W głosie miał coś z mórz śródnocnych
i z pomarańczy wyciśniętej.

BALKON

Lola
śpiewa piosenki.
Zeszli się do niej
torreros piękni.
Na progu
młody golibroda,
kiwając głową,
rytm jej podał.
Nad macierzanką
i liśćmi mięty
Lola śpiewa
piosenki.
Lola, to ta, co piorąc co dzień,
patrzyła w swe odbicie
w wodzie.

NOCA

Od gwiazd wysokich
pod dachem się chronią.
Wezbrała ciemność nocy.
Dziewczynka umarła w domu
leży z ukrytą we włosach
różą czerwoną.
Sześć słowików na płotku
opłakuje ją lamentem.
Ludzie przechodzą, wzdychając,
gitary niosą odskonięte.



WIEŚ

Na zarośniętej górze
Golgota.
Woda czysta,
oliwka stuletnia i złota.
Ścieżkami
ludzie się wloką,
a na wieżach
chorągiewki się kręcą wysoko,
bezustannie
kręcą się, skaczą.
O, ludu, zagubiony
w wielkiej Andaluzyj placzu!

MEMENTO

Kiedy umrę, gdy zasnę,
pochowajcie mnie z gitarą
pod piaskiem.

Gdy przyjdzie śmierć — niech się to stanie
pomiędzy dziką miętą
i pomarańczami.

Gdy umrę, proszę was jeszcze,
pogrzebcie mnie, jeśli można,
pod chorągiewką na wietrze.
Gdy umrę!



Historia filmu radzieckiego jest historią sztuki walczącej. Film radziecki utrwalal zwycięstwo rewolucji, ukazywal narodziny i rozwój socjalistycznej moralności, uczyl miłości do człowieka, pomagat robotnikom radzieckim w wykonywaniu planów industrializacji, chłopom radzieckim w socjalistycznej przebudowie wsi, żołnierzom radzieckim w bohaterskich zmaganiach z faszystowskim najeźdźcą. Historia kinematografii nie zna drugiego przykładu tak aktywnego udziału filmu w tworzeniu nowego życia. Szereg arcydzieł filmu radzieckiego przeszedł do trwałego skarbcza światowej klasyki filmowej.

Artykuł znanego radzieckiego scenarzysty i teoretyka filmowego, opublikowany niżej, poddaje wnikliwej analizie sprawę

scenariuszy filmowych, ujawniając i krytykując te niedomogi i niedostatki scenariuszowe, które mogłyby stanąć na przeszkodzie dalszemu rozwojowi radzieckiej kinematografii. Jak we wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej, tak i tutaj, krytyka radziecka pomaga sztuce, podkreślając i wysoko wartościując te jej tendencje i elementy, które są impulsem dalszego postępu — oraz karząc te, które postępek ten hamują. Artykuł radzieckiego scenarzysty i teoretyka filmowego jest tym ciekawszy dla czytelnika polskiego, że braki scenariuszy znacznie ostrzej występują w naszej rodzimej twórczości filmowej. I z tych właśnie względów artykuł M. Papawy jest dla nas niezwykle cenną pomocą.

NA ROK 1954 planuje się w ZSRR realizację ponad 50 filmów fabularnych ze stopniowym zwiększeniem tej liczby do 70 i więcej filmów rocznie.

Partia i Rząd słusznie żądają od nas śmiałego i zdecydowanego zwrotu ku współczesnej tematyce. Frontem do narodu, do jego potrzeb i nadziei, do jego radości i trosk — oto nasza droga.

Właśnie teraz, przed nowym krokiem naszej kinematografii, szczególnie potrzeba nam świeżego powiewu twórczej dyskusji, namiętnych sporów. Potrzeba nam tego także i po to, by wiodła nas naprzód marksistowska teoria i estetyka, a nie pewna suma opinii w rozlicznych instancjach, zamawiających i przyjmujących scenariusze.

„ANI SIĘ POŚMIAĆ, ANI POPLAKAĆ”

Przede wszystkim zastanówić nam się wypada nad poważnym spadkiem dramatycznego i emocjonalnego oddziaływania naszych filmów na widza. Przypomina mi się uwaga pewnego widza, podsłuchana niedawno w jednym z moskiewskich kin: „Oglądasz niektóre nasze filmy, w nich wszystko jest niby poprawne, a ot, popłakać, ani pośmiać się nie ma z czego!”

Rzecz w tym, że formę artystyczną zaczęliśmy zastępować formą logicznego wykładu. Zaczęliśmy adresować nasze dzieła nie tyle od serca, ile od rozumu widzów... Bohaterowie stawali się jedynie tubami autorów, obrazkami do tezy... Wszystko niby było sprawdzone i słuszne, a na widownie, jak nieproszone gość, zakradła się nuda... Plebiscyt widzów u kas biletowych dawały wyniki odbiegające od oficjalnej oceny filmu w ministerstwie, a nawet od sądów prasy.

Często i słusznie mówimy o odpowiedzialności artysty-filmowca, o masowym znaczeniu propagandowym seansu filmowego. Jednakże skrupulatnie wyważając słuszność tez ideowych i dokładność sformułowań, formę artystyczną analizujemy bardzo powierzchownie. Przy ocenie nowych scenariuszy krytyka ich często odbywa się według fałszywej metody: tyle też znalazło w nich swoje odbicie, a zaś takie to punkty należy jeszcze „podkreślić”, „uwypuklić” itd.

Często zdarzało się to dlatego, że sam autor przychodził z tak niedojrzałym i niekonkretnym zamiarem, że w jego nie wykończonym domu zmieniono w trakcie budowy fundamenty, wybijano nowe okna, odbudowywano całe ściany. Z taką błędną praktyką kolektywnego „dopracowywania” scenariuszy należy zerwać na zawsze.

UJEMNY NACISK HISTORII I TEATRU

Wydało mi się, że na naszym artystycznym myśleniu w filmie odbił się ujemny nacisk tematyki historycznej i biograficznej. W obu tych dziedzinach wyprodukowaliśmy sporo interesujących filmów, dobrze przyjętych przez widza. Jednakże taka tematyka nie wymagała od pisarza i reżysera osobistego doświadczenia, własnych obserwacji. Stopniowo twórcy nasi zaczęli się oddalać od życia, od potrzeb i zamówienia społecznego.

Przewaga tematyki historycznej i nadmierne entuzjazm dla filmowanych spektakli teatralnych doprowadziły do swoistego braku treningu w tematyce współczesnej u naszych reżyserów. Film robił i robi pożyteczną robotę, propagując czołowe osiągnięcia naszych teatrów. Ale, po pierwsze, bynajmniej nie wszystkie spektakle były rzeczywiście godne sfilmowania, a po drugie, nie mogły one zastąpić normalnych filmów, realizowanych według odrębnych zasad sztuki filmowej.

Oprócz tego, rejestrując na ekranie gotowe spektakle i mając do czynienia z konwencjami teatralnymi, uświeconymi przez wieki tradycji — reżyser pracował „na ciwerc” swych twórczych możliwości, wykorzystując jedynie, i to w części, swą rzemieślniczą zręczność. Praktyka awansowania młodych reżyserów na samodzielnych twórców przez powierzenie im prac nad takimi kompromisowymi twórcami, nie będącymi ani filmem, ani teatrem, na pewno naszej młodzieży filmowej nie pomagała.

Do sukcesu tematyki współczesnej prowadzi tylko prawdziwe i serdeczne zainteresowanie losami narodu budującego komunizm, twórcze wnikięcie w psychologię człowieka radzieckiego, w tym również i szeregowego, być może nie zauważonego dotąd przez nas bohatera.

Po wspaniałościach carskich komnat, historycznych bitew, dworskich audiencji, nieco niezwykłym wydać się wnętrze mieszkania takiego bohatera. Ale trzeba się umówić, że będzie to właśnie mieszkanie, a nie konwencjonalne filmowe apartamenty. Być może pierwszy obruszy się operator. Rzeczywiście, coż tam fotografować? W najlepszym razie prosty tapczan lub nikiowane łóżko. Znajdzie się ktoś, kto nam powie, że „to wszystko nie ma odpowiedniej skali”. Dlatego o pojęciu owej „wielkiej skali” w filmie trzeba osobno pomówić.

PRAWDZIWA I FAŁSZYWA MONUMENTALNOŚĆ

Czasami wizualne możliwości filmu; rozmach w czasie i przestrzeni, wielkie

sceny masowe, skomplikowane i gigantyczne dekoracje, nieograniczone środki zdjęć trickowych — przyjmowaliśmy za dowód, że film jest sztuką „wielkiej skali”. Rozmach widowiska filmowego zastąpił jego głębię. Na każdym metrze taśmy tłoczyli się wybitni ludzie, choć niektórym z nich udawało się wygłosić jedynie kilka niewyraźnych słów. Mimo to „wielka skala” owych scen wydawała się pewna, bo aprobowana przez historię.

W filmie współczesnym znowu używaliśmy „wielkiej skali” gospodarczych, naukowych lub technicznych problemów. Pojawił się u nas dziwny termin: „film naukowo-fabularny”. Z punktu widzenia teorii brzmiało to równie niedorzecznie, jak gdyby powiedzieć „ciekło-stały”. Odrębność form naukowego i artystycznego myślenia jest bowiem oczywista.

Tymczasem w szeregu instancji „wielką skalę” pokazywanych obiektów — fabryk gigantów — przyjmowało się za poszukiwaną „wielką skalę” scenariusza. Bardzo pouczające w tej mierze jest niepowodzenie A. Rybakowa. Biorąc za podstawę scenariusza jego powieść „Kierowcy”, Rybakowowi oświadczone, że sprawy małej bazy samochodowej, to „za mały wymiar” dla filmu. Ot, gdyby tak, na przykład, temat: Związek Radziecki, jako kraj motoryzacji! Rybakow wprowadził więc do scenariusza nowy i istotnie doniosły problem ekonomiczny: znormalizowany wykres dla całego transportu. I wtedy nagle okazało się, że cała artystyczna kompozycja powieści została zwieczniona, a nową nie zbudowano. Bohaterowie stracili swą pełnię i wyraz, stali się bladymi dodatkami do problemu transportowego.

Zdarzyło mi się czytać ostatnio wiele scenariuszy i nowel filmowych, w których jako miejsce akcji podawano wielkie budowy. W nielicznych wypadkach wybór ten uzasadniony był osobistym doświadczeniem i obserwacjami pisarza. Często jednak miało to posmak wyspekulowanej, komiunkturalnej „mody”. Autor taki, nawet jeśli akcja jego scenariusza nie miała — zdawałoby się — żadnego związku z wielkimi budowami, ciągnął swych bohaterów „za włosy” na teren robót. Nie czując się na siłach przedstawić „wielkiej skali” swego piśarskiego doświadczenia i obserwacji, nie umiając uogólnić zjawisk naszego życia, autor taki sądził, że gigantyczne rozmiary Kanału Wołgo-Dońskiego lub Elektrowni Kujbyszewskiej przykrywają nagość jego utworu.

Prawdziwy cel i sens naszego marszu do komunizmu, to nie ofiara współczesnego pokolenia na rzecz potomków, w imię dalekiego ideału. Nasz marsz — to codziennie rosnąca ilość materialnych i duchowych dóbr, dostępnych najszerzszemu kręgom narodu. Ku temu zmierzają wysiłki Partii i Rządu. Ciekawe, że taki typowy i piękny szczegół naszego powojennego życia, jak wielokrotnie obniżki cen, nie znalazł się nawet jako drobna aluzja w żadnym scenariuszu. Dlaczego? Bo nasz pozytywny bohater często w filmie nie miał nawet adresu, coż więc dopiero mówić o jego budżecie!

Takie szczegóły z życia bohatera, jak jego rodzina, mieszkanie, budżet i wydatki miały rzekomo uwłaczać — jako nieistotne i „ubliżające” — naszemu wysokiemu, a czysto scholastycznemu pojęciu o bohaterze. Stworzono nawet swoistą „lakierniczą estetykę” filmową, według której mieszkańcy tajgi muszą paradować w nowiutkich kozuszkach, a górnicy — w zapiętych na wszystkie guziki mundurach galowych.

Człowiek radziecki umie myśleć po gospodarsku, kategoriami państwowymi. Ale tę charakterystyczną cechę bohatera radzieckiego zmieniamy w jego cechę jedyną. Odrzucamy wszystko, co w bohaterze nie ma ogólnopaństwowego znaczenia. Uczonego nie wypuszczamy z laboratorium, racjonalizatora z fabryki, sekretarza partii z lokalu partyjnego. Przecież dalej zaczyna się już życie prywatne!

BY SCENARIUSZE BYŁY „CIEKAWSZE”

Ostatnimi czasy wiele się mówi o tym, by nasze scenariusze i filmy były „ciekawsze”. Niektórzy gotowi by rozpatrywać tę rzecz mechanicznie. Wydaje im się, że zaciekawienie widza osiąga się drogą czysto fachowych „chwytów”, zręczności rzemiosła. Ale zagadnienie atrakcyjności filmu, to przede wszystkim kwestia stworzenia wyrazistych i typowych charakterów.

Konflikt w utworze dramatycznym jest tą skupiającą siłą, która organizuje w jeden węzeł stosunki między bohaterami, cały pokazany materiał życiowy. Bez konfliktu akcja przybiera szkieletowy, opisowy charakter. Tę arytmetyczną sumę epizodów nie powiązanych artystycznie można oczywiście i „dopracowywać”, i „ubojować” i „uzupełniać”, nic jednak dobrego z tego nie wyjdzie.

Tu właśnie tkwią korzenie braków nawet najlepszych naszych filmów na współczesne tematy. Jedną z najciekawszych postaci w „Górnikach donieckich”, to dyrektor kopalni Gorowoj. Stary i szanowany górnik rezygnuje ze swego stanowiska. Jego rozmowa z sekretarzem partii — rezultat skomplikowanego procesu myślowego — pełna jest prawdziwej siły i skromności komunisty. Gorowoj rozumie, że obecna kopalnia, to cała podziemna fabryka. I uczciwie przyznaje, że brak mu dostatecznej wiedzy fachowej, by kierować dziesiątkami inżynierów i techników jego kopalni. Bardzo możliwe, że postać Gorowoja mogła stać się tym węzłem dramatycznym, poprzez który widz mógłby zobaczyć rozrost i uprzemysłowienie Donbasu. Ale z tej możliwości nie skorzystano. Gorowoj — to tylko epizodyczna figura.

Zagadnienia ideowego, propagandowego oddziaływania filmu są nieodłączne od sprawy opanowania prawdziwie artystycznej formy. Otwiera się cała nietknięta jeszcze dziedzina dla dyskusji i rozmyślań, otwiera się cały świat nowych tematów dla naszego filmu.

Przełożył: J. PŁAZEWSKI
„Iskusstwo Kino”



SCENA Z FILMU „GÓRNICY DONIECCY”



Gra toczy się na środku boiska. Obie drużyny walczą o piłkę, a ona ucieka w górę, jakby chciała odpocząć...



50.000 widzów śledzi z uwagą przebieg meczu w Chorzowie. A emocji było wiele — trzeba było okłaskiwać pięć bramek, strzelonych przez obie drużyny.



Piłkarze obu drużyn wymieniają kwiaty i życzą sobie miłej gry. Za chwilę rozpocznie się wielka gra.

JÓZEF HEN

Notatnik zapalenca

EMIL, CZYLI O WYCHOWANIU

S PRAWA wychowania sportowców stała się tematem dnia. Działacze zamienili się w pedagogów i, kto wie, czy nie studiują po nocach dzieł Komen-skiego, „Żywota pocziwego człowieka” Reja, „Emila czyli o wychowaniu” Jana Jakuba Rousseau... Lepiej późno, niż nigdy — mówi mądrość ludowa, ten najlepszy pedagog. Dotychczas bowiem wychowanie naszych sportowców przypominało edukację tych eksperymentalnych „dzieci natury”, którą rozważał w XVIII wieku Rousseau. Zostawiono ich samym sobie, prawdopodobnie przez prostą ciekawość (nie chcę sugerować, że przez zapomnienie): co też z nich wyrośnie? Eksperyment zakończył się klęską „wychowania naturalnego” — zaczynamy opracowywać wskazania i przepisy edukacji zawodników. W swoim czasie książka Rousseau wywołała taką modę „na wychowanie”, że wielkie damy Paryża kazały przynosić swoje niemowlęta do Opery i tu karmiły je publicznie. Zaczęliśmy i my publiczne karmienie naszych „dzieci natury”, a w każdym razie publiczne pranie pieluch. Dyskusja trwa — i jest jak najbardziej pożądana. Już dziś można stwierdzić, że wina kolarzy jest mniejsza, niż się wydawało, że najwięcej tu zawiniło zaniedbanie w pracy wychowawczej i, co za tym idzie, zwykła nieumiejętność różniwania między dobrym a złym, między etycznym a nieetycznym. Stwierdza to słuszny artykuł Jerzego Mrzygłoda w Nr 92 „Przeglądu Sportowego”.

Jestli wspomnieliśmy tu kilka tytułów książek, to nie na skutek swoich osobistych upodobań, ale dlatego jedynie, że chciałem zwrócić uwagę na tak zapomniany przez naszych działaczy bodziec wychowawczy, jak literatura piękna. Jesienią czterdziestego ósmego roku, podczas wizyty lekkoatletów radzieckich, spędziłem z Anokina (wówczas najlepszą oszczepniczką świata), Czudiną, Andrejewą i Woikowem kilka godzin na omacnianiu powieści Erenburga „Burza”. Dyskusja była ostra, nie ma potrzeby jej tu przytaczać, ponieważ tylko, że pomyślałem z westchnieniem, iż chciałbym doczekać się takiej dyskusji z naszymi zawodnikami.

Mówi się o tym, że trener ma być nie tylko fachowym doradcą, ale i wychowawcą. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło mu się to udać bez znajomości duszy ludzkiej, bez tej szkoły, jaką jest lektura dzieł literackich. Ten sam Paweł Korczagin, który wzrusza miliony młodzieży na całym świecie, może pomóc i w wychowaniu garstki zawodników. A „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja? A „Pamiętnik z Celulozy” Newerlego? Wiedzę o człowieku daje każda wybitna książka. Daje ją Prus i Sienkiewicz, daje ją Tolstoj i Szolochow, Stendhal i Aragon, London i Dickens — wyliczanie jest tu prawie czynnością mechaniczną.

Ale jest jeden tytuł, którego niesposób tu pominąć: „Poemat pedagogiczny” Makarenki. Znajomość tego dzieła przydałaby się każdemu trenerowi. Jan Nogaj w interesującym artykule w „Sporcie” opowiada, w jaki sposób zaczęła się kariera pływacka Petruszewicza (obecnie rekordzisty świata) i Jaśkiewicz (czołowy nasz „grzbietowiec”): wybijali szyby w pływalni! Trener Makowski przyłapał ich na tym... i zaprowadził do sekcji. Nie wiem, czy trener Makowski czytał Makarenkę, ale jego postępowanie ma w sobie coś z ducha tego wielkiego pedagoga.

A o n i? Czy chcą czytać? Chcą! Gdyby do nagród dodawano książki (tylko, na litość boską, ciekawe!), gdyby fundowano biblioteczki — na pewno by nimi nikt nie pogardził. Podczas podróży na Festiwal w Bukareszcie obserwowałem w pociągu wielkie zainteresowanie zawodników książką, duży dla niej szacunek i częsty brak orientacji. Jechała z zawodnikami skrzynia z książkami i trzeba przyznać, że popyt na nie był duży. Czego więc brakuje? Brakuje mądrej rady, brakuje też włączenia lektury do programu wychowania. Wkrótce wyjdzie u nas powieść Brażnina o dziecięcej szkole lekkoatletycznej Aleksiejewa (tej samej, z której wyszły Smirnicka i Zybina). Przekonacie się po przeczytaniu tej książki, jaką rolę w praktyce wychowawczej Aleksiejewa, czołowego dziś trenera w ZSRR odgrywa literatura piękna.

Chcemy, żeby nasi sportowcy umieli walczyć, żeby byli patriotami, żeby ich moralność stała wysoko — a czy nie te właśnie cechy charakteru kształtuje literatura humanistyczna? Ostatnie dyskusje literackie zajęły się „bohaterem pozytywnym”, w ich ogniu pozbywa się on pewnych cech sztuczności, przestaje być manekinem, staje się żywym człowiekiem.

I sport posiada swego żywego bohatera pozytywnego. Jest nim Emil Zatopek, którego ostatni rekord świata (10 km — 29:01,8) stanowi jeszcze jedno potwierdzenie niezwykłych zalet Emila — sportowca. Emil — człowiek? Szerokość jego zainteresowań, przy równoczesnej skromności i bezpośredniości — ani cienia krygowania się! — są imponujące. Wola zwycięstwa — ciekawość świata. Umiejętność mobilizacji organizmu — i znajomość kilku języków obcych. Zdyscyplinowanie, uparty trening — i świadomość polityczna. Zatopek co roku prawie bywa w Polsce i nigdy nie pomija okazji zwiedzenia dzielnic Warszawy, które wybudowano od czasu ostatniej jego wizyty. Nie pomija również okazji mówienia po polsku i władza naszym językiem całkiem nieźle. Gdybyśmy próbowali dojść, jakie wiadomości wynieśli z Czechosłowacji nasi kolarze, a niektórzy byli w Pradze sześciokrotnie, odpowiedź wypadłaby dosyć smutno.

Wkrótce ukaza się dwie pozycje książkowe o Zatopku: piękne opowiadanie Jerzego Broszkiewicz pt. „Emil! Emil!” i powieść biograficzna Kożika w tłumaczeniu Z. K. Rogowskiego. Pozytywny bohater sportu zaprezentuje się jako pozytywny bohater literatury.

MECZE PRZYJAŹNI

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

50 tysięcy widzów w Chorzowie i 45 tysięcy w Krakowie obserwowało występy pięciokrotnego mistrza piłkarskiego ZSRR — Spartaka, który ostatnio pokonał wiedeński Rapid (4:0) i budapeszteńską Dozse (5:0).

W Chorzowie przeciwnikiem Spartaka była reprezentacja Śląska. Mecz, który miał być sprawdzianem postępów naszych piłkarzy zakończył się — po pięknej grze — zwycięstwem gości 3:2; Spartak wykazał dobrą technikę i dobre przygotowanie kondycyjne. Śląsk przeciwstawił mu niegorszą kondycję i ambicję. Nowoczesny sposób prowadzenia ataku, liczne zmiany miejsc, podawania piłki na dobieg, zdezorientowały obronę Śląska i goście uzyskali trzy bramki.

Mecz w Krakowie nie był podobny do chorzowskiego, ponieważ reprezentacja Krakowa — to drużyna grająca innym stylem niż Śląska i opierająca grę na innych założeniach. W meczu Spartaka ze Śląskiem przewaga techniki była po stronie gości. W meczu z Krakowem tej przewagi nie było. Goście wygrali z Krakowem 2:1, wykazując lepszą kondycję fizyczną.

W trzecim spotkaniu, z chorzowską Unią w Warszawie, spartakowcy górowali nad drużyną mistrza Polski pod każdym względem, wygrywając łatwo 4:2. Wszystkie trzy mecze pomogły naszym piłkarzom w ujawnianiu istotnych braków w wyszkoleniu.

Już, już zdawało się, że Paromonow złapie piłkę na głowę i umieści ją w siatce drużyny śląskiej. Aż tu jak spod ziemi wyrasta bramkarz Wyrobek i łowi ją w swe objęcia. Jednakże zwyciężyli goście w stosunku 3:2.



FELDMARSZAŁEK i SWASTYKA

MARIAN PODKOWIŃSKI

(6)

Zapoznajmy się najprzód z treścią tego dokumentu. 12 lutego 1942 roku SS-Oberfuehrer Ohlendorf, jako dowódca „Einsatzgruppe D” na Krymie, wystosował następujące pismo do sztabu 11 armii, którą dowodził Manstein:

„Dotyczy: zegarków. — Z rozmowy telefonicznej z komendantem miasta Symferopol dowiedziałem się, iż pan głównodowodzący domaga się, dla celów służbowych, pozostałych jeszcze z akcji żydowskiej zegarków. Przekazuję niniejszym armii 120 zegarków, które zostały naprawione, do użytku. 50 zegarków pozostaje jeszcze w naprawie. Część z nich nadawać się będzie do użytku. Jeśli armia miała zapotrzebowanie na pozostałe zegarki, proszę o powiadomienie. Podpisano: SS-Oberfuehrer (—) Ohlendorf”.

Na oryginalne są następujące dopiski: cyfra „120” podkreślona i na marginesie listu, przy sprawie zapotrzebowania pozostałych zegarków, dopisek ołówkiem „ja” (tak). Słowo to dopisał i list parał generał Woehler, szef sztabu Mansteina. U góry parafa „VM” (von Manstein) — u dołu uwaga: „załatwiono, 14.2. v.A.” (von Arnim).

A teraz dzieje tego pisma — świadka okrutnej zbrodni dokonanej na krymskich Żydach.

Manstein postanowił obdarować swoich oficerów prezentami za kampanię krymską. Na wniosek szefa sztabu postanowiono zasłużonym oficerom 11 armii podać zegarki z odpowiednim napisem. Obliczono, że ogółem trzeba mieć 500 zegarków. O otrzymaniu ich w tym czasie z Berlina mowy być nie mogło. Manstein zapytał wojskowego komendanta Symferopola, czy mógłby on wystarać się o zegarki. Ten odpowiedział, że SD na pewno posiada je z akcji żydowskiej. Manstein polecił porozumieć się z Ohlendorfem. Oberkat Krymu zgodził się na dostawę zegarków i w pierwszym transporcie przysłał — jak pisze sam Paget — 200 sztuk. Resztę trzeba było naprawić, ponieważ uszkodzone zostały podczas zdejmowania ich z rąk pomordowanych. W ten sposób powstał list Ohlendorfa. Skoro Woehler otrzymał go, zapytał Mansteina, czy weźmie pozostałych 50 zegarków, które jeszcze są w naprawie. Manstein odpowiedział „ja” — i szef sztabu, przekazując von Arnimowi list do wykonania, dopisał na marginesie „tak”. Manstein złożył również swój podpis i w ten sposób przyznał się, że wiedział o masowym mordowaniu Żydów na terenach objętych jego dowództwem.

W grudniu 1941 roku Ohlendorf raportował Mansteinowi, że Symferopol wolny jest od Żydów. Jak wykazał raport SD, dziennie zabijano tu 10 tysięcy ludzi. Do końca lipca 1942 na Krymie nie było już Żydów w ogóle.

ŻYDZI stanowili oczywiście tylko część bestialsko wymordowanej ludności cywilnej Krymu i innych obszarów, które okupowały wojska Mansteina. Prokurator brytyjski, Comyns Carr, mówił przez siedem godzin o tych potwornościach, jakie działy się na Krymie. Manstein „czyścił” zaplecze swego odcinka frontowego — podobnie, jak czynili to jego przyjaciele wszędzie tam, gdzie stanoła noga hitlerowskiego krzyżowca — aby Hitler mógł realizować swoje marzenia o „germańskiej Rzeszy narodu niemieckiego”. Eksterminacja ludności Krymu miała swoje konkretne cele.

Dowiadujemy się o nich z rozmowy Hitlera w kwaterze „Wolfsschanze”, która miała miejsce 2 lipca 1942, nazajutrz po upadku twierdzy Sewastopol, za co Hitler wynagrodził Mansteina — jak pamiętamy — stopniem feldmarszałka Trzeciej Rzeszy.

Stenograf Hitlera, Henry Picker, notuje o planach Hitlera w sprawie kolonizacji Krymu:

„Hitler wspominał przy kolacji, że przeczytał memoriał gauleitera Frauenfelda w sprawie rozwiązania problemu południowego Tyrolu. Frauenfeld proponuje, aby ludność południowego Tyrolu przesiedlić na Krym. W ten sposób raz na zawsze zostanie załatwiony stary konflikt z Włochami. On, Hitler, uważa projekt ten za wyśmienity... Na Krymie mieszkali przecież Gotowie. Wierzy on również, iż kraj ten nadaje się ze względu na klimatyczne znakomicie dla osiedlenia Tyrolczyków. Poza tym — w porównaniu do obecnego obszaru zamieszkania południowych Tyrolczyków — Krym jest krainą młodem i mlekiem płynącą. Przesiedlenie ludności tyrolskiej na Krym nie sprawi specjalnie ani fizycznych, ani psychicznych trudności. Wystarczy przepłynąć niemiecką rzekę, Dunaj, a już wszyscy będą na miejscu...”.

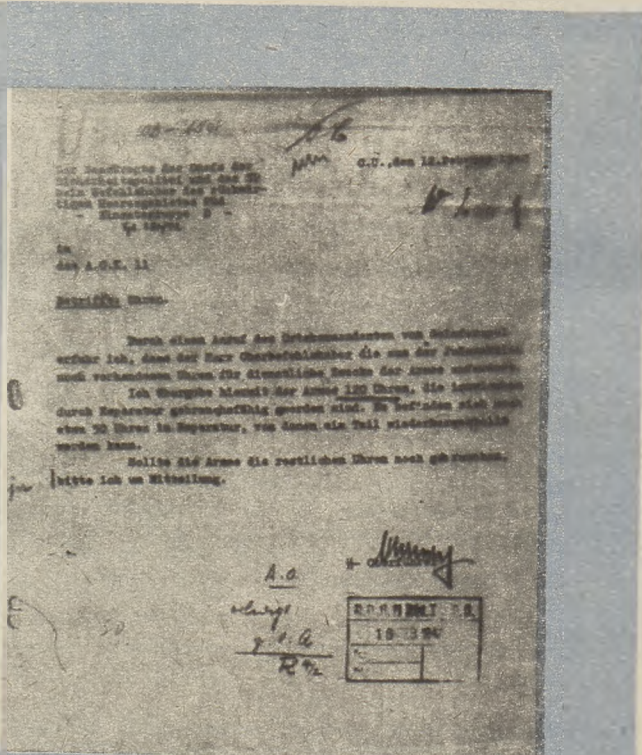
Do rozmowy wtrącił się Alfred Rosenberg, świeżo

upieczony minister „wschodnich obszarów”, rzecznik rozbicia Związku Radzieckiego na drobne państewka. — Mein Fuehrer — powiada rozgorączkowany projektami Hitlera — opracowałem już nawet niemieckie nazwy dla miast krymskich. Proponuję, aby Symferopol nazwać „Gotenburg”, a Sewastopol „Theodorichshafen”...

W kilka tygodni po tej rozmowie wojska radzieckie wyładowały niespodziewanie w Kerczu. Był to początek końca hitlerowskiego panowania na umęczonej ziemi krymskiej. W dwa lata później konferencja jałtańska przypieczętowała los hitlerowskiego imperium.

XI

PROCES Mansteina rozpoczął się dopiero w sierpniu roku 1949, chociaż zbrodniarz ten był od roku 1945 w rękach Anglików. W maju tegoż roku Manstein poddał się dobrowolnie marszałkowi Montgomery. Miesiąc wcześniej, w swoim berlińskim bunkrze, Hitler, który wściekał się na „tchórzliwych” generałów, jeszcze raz wynosił Mansteina pod niebiosa. Agonia Trzeciej Rzeszy zastaje w bunkrze Hitlera Keitla, Jod-



Dokument dotyczący 120 zegarków.

la, Guderiana, Fegeleina (małż siostry Ewy Braun) i von Belowa (nowy adiutant Hitlera — Schmuntz zginął podczas zamachu bombowego na życie Hitlera, 20 lipca 1944). Hitler zlorzeczy wszystkim. Ale pamięta o Mansteinie. Mówi on wtedy niemal z rozrzewaniem, jak notuje jego stenograf Picker:

— Manstein był w moich oczach prawdziwym talentem operacyjnym. Gdybym dzisiaj miał armię, powiedziałbym, o sile 20 dywizji, w pełnym składzie i uzbrojeniu, nie mógłbym marzyć o lepszym dowódcy...

Zbrodnie Mansteina i jego wierność Hitlerowi (odmówił generałowi von Choltitzowi wzięcia udziału w puczu 20 lipca 1944, mówiąc: „Jako dowódca armii jestem odpowiedzialny przed narodem niemieckim, a jako niemiecki generał nigdy nie wystąpię przeciwko mojemu wodzowi”), dokumenty świadczące o totalnym ludobójstwie na Krymie i na Ukrainie były tak wstrząsające, że nawet brytyjski sąd wojskowy, który przez trzy miesiące głowił się nad sprawą najkrwawszego z hitlerowskich marszałków, musiał skazać go 19 grudnia 1949 roku na 18 lat więzienia.

A przecież wiadomo, że cały trybunał pracował pod wielkim naciskiem tych kół brytyjskich i amerykańskich, które chociaż zmuszone do wytoczenia procesu Mansteinowi pod presją opinii publicznej, przecież uczynili wszystko, aby wyrok był jak najłagodniejszy.

Zanim jeszcze w hamburskim Curio-Haus Manstein zasiadł na ławie oskarżonych, w Anglii i w USA poczyniono „pewne kroki”. Amerykański szef wywiadu (OSS)

w ostatniej wojnie, generał Donovan, poleca niemieckiemu adwokatowi, dr Leverkuehn, aby przygotował obronę Mansteina. Wszystkie potrzebne dla obrony dokumenty Waszyngton wydaje brytyjskiemu obrońcy Mansteina, Pagetowi. Warto zaznaczyć, że dr Leverkuehn był członkiem hitlerowskiej Abwehry w Turcji i tutaj Donovan nawiązał z nim znajomość, która przetrwała wojnę i klęskę Trzeciej Rzeszy. Imperialiści brytyjscy natomiast uruchomili tzw. „Fundusz Mansteina” dla obrony hitlerowskiego oprawcy. W krótkim czasie zebrano 2 tysiące funtów. Dwaj lordowie, de L'Isle and Dudley (skarbnik partii konserwatywnej, dziś minister komunikacji lotniczej) i wicehrabia Robert Bridgeman (podczas wojny dowódca straży krajowej) zawiadywali tym funduszem. Churchill wpłacił pierwsze 25 funtów...

Niemniej jednak Manstein, który na procesie — podobnie jak jego obrońcy — zachowywał się niezwykle arogancko, dostał 18 lat więzienia. Tak ogromne były jego zbrodnie wojenne!

XII

CO innego jest skazać w trybunale, a co innego znowu wyrok ten wykonać. Sędziowie skazali Mansteina, ale politycy brytyjscy nie mieli zamiaru wykonać wyroku. Z chwilą wydania wyroku, Manstein przeszedł z kompetencji trybunału do kompetencji wysokiego komisarza W. Brytanii w Niemczech zachodnich, sir Ivone Kirkpatricka. Ten „wysoki komisarz” ma swoją pozycję w historii Trzeciej Rzeszy. Kirkpatrick był przed wojną radcą ambasady brytyjskiej w Berlinie, brał udział w konferencji monachijskiej, towarzyszył Chamberlainowi w jego rozmowach z Hitlerem w Bad Godesberg i opuścił Berlin, kiedy Manstein mordował już w Bydgoszczy. A później był szefem wydziału niemieckiego w Foreign Office. Kiedy Rudolf Hess wyładował w roku 1941 w Anglii, pierwszym człowiekiem, z którym pragnął się zetknąć, był — Kirkpatrick. I Kirkpatrick prowadził sprawę Hessa. Kirkpatrick zmniejszył wyrok Mansteina do 12 lat i zaliczył mu arest przewencyjny. Generałowi Busse, dawnemu szefowi sztabu Mansteina, który wraz z niemiecką obroną prowadził jako ekspert wojskowy zacięłą walkę o uwolnienie feldmarszałka, Kirkpatrick dał pierwszą nadzieję na rychłe uwolnienie jego pryncypała. Już po roku rozpoczęły się „urlopy zdrowotne” Mansteina. Więcej był w domu, niżli w twierdzy Werl, gdzie znajdowała się jego cela, przypominająca komfortowy pokój w hotelu. Miał tu wszystko, czego potrzebna do wygodnego życia i mógł pisać swoje pamiętniki. „Aby było z czego żyć, jak wyjdzie z więzienia” — oświadczył kiedyś Manstein komendantowi twierdzy, pułkownikowi Vickersowi.

Już podczas jednego z takich urlopów, który spędził wraz z żoną w Schwarzwaldzie, dowiedział się od swoich podkomendnych, że chyba lada dzień będzie wolny. Tworzy się nowa Wehrmacht — powiada Busse — i generałowie stawiają za warunek uwolnienia wszystkich tzw. zbrodniarzy wojennych... „Na wiecach Soldatenbundów — pocieszał Mansteina Busse — nasi ludzie domagają się przede wszystkim uwolnienia was, Herr Feldmarschall, i Kesselringa...”

Pisząc swoją książkę o Mansteinie, R. T. Paget zaznaczył:

„Nie wierzę, aby uczelwy Anglik zechciały służyć w armii, u boku ludzi, którzy uwięzili mu marszałków Alexandra i Montgomery'ego. Byli żołnierze Wehrmachtu dali nam do zrozumienia, że dopóty nie wezmą udziału w nowej armii niemieckiej, dopóki będziemy więzić ludzi pokroju Kesselringa i Mansteina...”.

A czyniąc już wyraźną aluzję do tzw. armii europejskiej, Paget wręcz pisze:

„Jeżeli Zachodnia Europa ma być obroniona (tak nazywa się agresję w języku atlantydy, przyp. mój M. P.), ci przyzwoleni żołnierze muszą stać się naszymi towarzyszami broni...”.

W miarę, jak sprawa wskrzeszenia Wehrmachtu pod szyldem „armii europejskiej” czyniła postępy, zbliżał się oczywiście dzień uwolnienia Mansteina. Na pół roku przed oficjalnym uwolnieniem nie przebywał on już więcej w twierdzy Werl. Był wśród swojej junkierskiej rodziny na zamku Allmendingen (koło Ulm, w Szwabii), który należy do jego przyrodniej siostry, baronowej Marthy von Freyberg. Kesselring zaś w tym czasie odzyskał wolność i objął — a jakże! — przewodnictwo militarystycznego „Stahlhelmu”.

EPILOG

BURMISTRZ miasteczka Allmendingen, Pfinder, smacznie już spał, kiedy obudził go przeciągły telefon. Pfinder wyskoczył jak oparzony z łóżka; sądził, że pali się w mieście, albo, że Amerykanie znowu domagają się nowych terenów na poligon. Tym razem dzwonili dziennikarze zagraniczni ze Stuttgartu. Reporterzy pytali się, o której godzinie rozpoczynają się w Allmendingen uroczystości z okazji uwolnienia Mansteina. Burmistrz zrobił wielkie oczy. Nic mu o tym nie było wiadomo. Dziennikarze powiedzieli mu więc, że Manstein jest od wczoraj wolny. I że jutro o 8 rano przyjeżdżają do Allmendingen z wizytą do feldmarszałka.

Pfinder z emocji nie spał całą noc. O szóstej rano ubrał się i pobiegł do zamku barona Freyberga, gdzie Manstein przebywał na „urlopie”. I gdzie jego żona mieszkała od roku 1947. Chciał się upewnić, czy Mansteinowie już o tym wiedzą. Bo przecież zaraz prasa się zjawi...

Dokończenie na stronie 22

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

NIE POPRZESTANIE NA LEGITYMACJI

Kazimierz Banach mocno trzyma w dłoni legitymację TPP-R, a ze wszystkich stron podchodzą do niego z serdecznymi gratulacjami. Prezes Zarządu Głównego ZSCh, Antoni Korzycki, i przedstawiciel WOKS-u, i znany stachanowiec moskiewskiej fabryki budowy obrabiarek — Aleksiej Pawłow. Kazimierz Banach sam już nawet nie wie kto. Przecież tylu gości przybyło dziś do Runowa na uroczystość wręczenia mu 500-tysięcznej legitymacji TPP-R w województwie poznańskim.

Kazimierz Banach jest wzruszony i onieśmieszony:

*) Wszelkich Towarzystwo Łączności Kulturalnej z Zagranicą.

nie wiadomo czym więcej, czy uroczystością i objawami serdeczności, czy legitymacją i nagrodą.

— Co was skłoniło do wstąpienia w szeregi TPP-R — pada zwykle w takich wypadkach pytanie.

— Zapytajcie lepiej dlaczego dopiero teraz to zrobiłem — odpowiada Banach po chwili namysłu. — Przecież wiem, że i gospodarstwo, które otrzymałem od Rządu Ludowego i to, że mogę spokojnie pracować, a dzieci posyłać do szkoły, że nie „klepię” błędy, że wszystko to zawdzięczać pośrednio Związkowi Radzieckiemu. Przecież to Związek Radziecki wyzwolił nas z faszystowskiej niewoli i pomógł w bu-

dowie nowego życia w naszym kraju.

Kazimierz Banacha wszyscy we wsi znają jako przodującego gospodarza i sumiennego, dbałego o gromadę, sołtysa. Do Runowa przybył po wojnie, gdy z reformy rolnej dostał tu ziemię. Stara się ją uprawiać jak najlepiej; aby podnieść wydajność z ha zasięga rad fachowych instruktorów i stosuje najnowsze zdobycze agrotechniki.

Gdy Klemens Kamiński, chłop węgrowski, powrócił z wycieczki do ZSRR — Banach chciwie słuchał jego opowiadań o wszystkim, co widział w kołchozach. Od tej pory nie opuszcza go myśl o założeniu spółdzielni produkcyjnej w Runowie.

Rozmawiał już z sąsiadami, tłumaczył, przekonywał i wierzył, że nieza długo już zarzą miedze i wspólnie wyruszą uprawiać spółdzielcze pola Runowa.

Zygmunt Okoń, Poznań



Prezes Zarządu Głównego ZSCh, Antoni Korzycki, wręcza Kazimierzowi Banachowi legitymację członkowską TPP-R

REKORD KAZIMIERZA CZEKATOWSKIEGO

— Ile kilometrów ponad normę można będzie przejechać na tym wozie — zastanawiał się Kazimierz Czekatowski, kierowca w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, gdy w ro-

ku 1950 przydzielono mu samochód.

Obejrzał skrupulatnie ciemnowisłową „Skodę”, sprawdził motor, skrzynkę biegów, pomacał opony, zrobił kilkanaście kilometrów na próbę.

Mijały miesiące i lata. Maszyna wciąż była na „cho-dzie”.

— Najnowsza, to ona nie jest — pokiwał głową — przejechała już swoje 60 tys. km, do generalnego remontu według normy brak jej tylko 12 tys. km. No, zobaczymy, ile się jeszcze na niej „przeleci”.

Mijały miesiące i lata. Maszyna wciąż była na „cho-dzie”.

Aż wreszcie w tym roku, któregoś październikowego dnia padł rekord nie notowany dotychczas w Polsce: „Skoda” Czekatowskiego przejechała ponad 227 tys. km. bez generalnego remontu. Wynik ten został zatwierdzony przez komisję rzeczoznawców, która równocześnie stwierdziła, że chociaż silnik nie „krztusi się” i wciąż pracuje równomiernie — czas już jednak aby poszedł do generalnego remontu.

W jaki sposób kierowca osiągnął ten rekord?

Nie było to wcale trudne — jak sam opowiada. Wymagało tylko uwagi i bezustannej dbałości o wóz.

Przed wszystkim po przejechaniu każdego półtora tysiąca kilometrów kierowca Czekatowski przemyczał filtr oliwy, a po 15 tys. km wlewał do gorącego motoru dwa litry nafty, by oczyścić wszystkie jego części. Dbał też o to, by zawsze paliły się świece i nie przekraczał nigdy szybkości 60 km na godzinę.

Kazimierz Czekatowski dumny jest ze swego rekordu i nie rezygnuje z jeszcze lepszych wyników w swej dalszej pracy.

Wł. Marski, Bydgoszcz
Fot. L. Stanisławski



Komisja rzeczoznawców sprawdza stan techniczny samochodu, na którym Czekatowski (pierwszy od lewej) pobit wszystkie dotychczasowe rekordy kierowców.

REWIA PSIEJ PIĘKNOŚCI

Z daleka już słysząc ujadanie. W basowe, głębokie tony owczarków alzackich, bernardynów i nowofundlandów wpada nerwowo, wysoki dyszant pikińczyków i ratlerów...

Oddział Rady Kynologicznej w Krakowie organizując wystawę pragnął zainteresować jak najwięcej mieszkańców miasta sprawą hodowli psów rasowych. Frekwencja zwiedzających była duża, cel ten został więc osiągnięty. Pokazano ogółem 165 okazów

różnych ras: psy ochronne i służbowe, myśliwskie oraz małe psy pokojowe. Hodowcy przywieźli swoje „poclechy” nie tylko z terenu województwa krakowskiego, ale i ze Stalinogrodu, z Warszawy, Łodzi i Pyskowic Śląskich.

Ocenę „doskonałą”, najwyższą w klasyfikacji i miano najpiękniejszego w Polsce boksera zdobył „Maciek” — własność Krystyny Bernard z Krakowa.

J. Baczyński, Kraków
Zdjęcia: R. Zawidowski



Proszę mnie sfotografować z profilu — prosi piękny „Maciek”

„SKĄD IDZIE BURZA?”

Dzieje powstawania niejednej spółdzielni produkcyjnej na wsi obfitują w prawdziwie dramatyczne momenty. Nie będzie ich również brakować w filmie, realizowanym przez jedną z ekip Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. Scenariusz do tego filmu pod tymczasowym tytułem „Skąd idzie burza?” napisał przy współpracy młodego reżysera, Stanisława Różewicza — Roman Bratny.

Zdjęcia plenerowe pod kierownictwem operatora Władysława Forberta rozpoczęto jeszcze w lipcu, we wsi poznańskiej Kościelec. Zdjęcia w atelier zakończone będą w listopadzie. Przewiduje się, że najpóźniej w grudniu będzie już gotowa kopia dźwiękowa.

Główne role grają: Józef Nalberczak i Małgorzata Leśniewska, absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Poza tym w filmie tym zobaczymy: Kazimierza Opalińskiego, Henryka Borowskiego, Mie-



Józef Nalberczak i Irena Netto w scenie przy studni.

czysława Mileckiego, Wandę Łuczycką i Tadeusza Fijewskiego.

Tadeusz Mielczarek, Łódź
Zdjęcia: Kądziołka



Przygotowania do nakręcania jednej ze scen filmu.

FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ

EFEKT CALLIERA

PISALISMY ostatnio wiele o konstrukcji powiększalników i ich oświetleniu. Z zagadnieniem tym związany jest ściśle tzw. efekt Calliera.

Aparaty do powiększeń, wyposażone w kondensory z soczewkami płasko wypukłymi dają powiększenia o większej kontrastowości, aniżeli moglibyśmy się tego spodziewać z oceny samego negatywu. Zjawisko to polega na przechodzeniu promieni sterowanych kondensorem przez emulsję tylko w jednym ściśle wytyczonym kierunku (równoległe do siebie, prostopadłe do negatywu). Promień taki, gdy trafi w emulsję na miejsce silnie zaczerpnione, zostaje odbity, podczas gdy w miejscach całkowicie lub częściowo przezroczystych promienie przechodzą mniej lub więcej swobodnie. W rezultacie powiększenie nasze wykazuje normalne krycie w cieniach i półtonach, natomiast światła są na powiększeniu jaśniejsze niż wykazywałby charakter negatywu. Nastąpiło tym samym dość znaczne zwiększenie kontrastowości.

to (tzn. efekt Calliera) powoduje „częstokroć” kontrastowość nadmierną i przesadne wzmocnienie najdrobniejszych skaz, jak rysy, nierówności negatywu, pyłki, kurz itp. Dlatego też powiększalniki budowane są obecnie z kondensorami, które umożliwiają bardziej jednolite naświetlenie negatywu; jako źródło światła stosuje się w nich wyłącznie żarówkę opalową, dającą oświetlenie zwane po-

wierzchniowym. Odbija też światło żarówki kopia powiększalnika. Tworzy ona promienie boczne, które pozwalają na otrzymanie bardziej harmonijnego obrazu, gdyż promienie boczne padają na emulsję negatywu pod różnym kątem i przenikają w ten sposób nawet miejsca silnie zaczerpnione (metaliczne bowiem, czarne ziarno srebra, odbija tylko promienie prostopadłe).

Budowane są też obecnie powiększalniki, w których zastosowany jest specjalny modulator oświetlenia. Powiększalniki te posiadają między żarówką mleczną a kondensorem przysłonę, która pozwala na stosowanie do naświetlania promieni środkowych lub bocznych. Dla uzyskania powiększeń „miękkich” użyjemy przysłony w postaci szybki szklanej, w której matowy krążek centralny odcina promienie środkowe, a przepuszcza promienie boczne. Dla powiększeń „twardych” o większych kontrastach zastosujemy znowu białą z otworkiem środkowym, wzmocniającym promienie środkowe przez obcięcie promieni bocznych. Efekt Calliera występuje wtedy z całą siłą.

Ostatnio produkuje się powiększalniki, w których źródłem światła są rurki neonowe (wypełniające całą przestrzeń głowicy prawie tuż nad kondensorem). Podobno ten system naświetlania daje powiększenia w miarę miękkie, co pośrednio między powiększeniami zdecydowanie twardymi i zdecydowanie miękkimi.

Przysłona	ODLEGŁOŚĆ FOTOGRAFOWANEGO PRZEDMIOTU W METRACH								
	1	1,5	2	3	5	8	10	20	∞
1:2,8	0,96—1,04	1,42—1,59	1,86—2,16	2,69—3,39	4,2 —6,2	6,1 —11,5	7,2 —16	11 —83	26 —∞
1:4	0,95—1,06	1,39—1,63	1,81—2,24	2,58—3,58	3,9 —6,9	5,6 —14	6,5 —22	10 —∞	18 —∞
1:5,6	0,93—1,08	1,35—1,69	1,74—2,36	2,45—3,9	3,6 —8,1	5 —20	5,7 —41	8 —∞	13 —∞
1:8	0,9—1,12	1,29—1,79	1,64—2,55	2,25—4,5	3,2 —11	4,3 —61	5 —∞	6 —∞	9 —∞
1:11	0,87—1,18	1,22—1,95	1,53—2,9	2,05—5,6	2,9 —22	3,6 —∞	4 —∞	5 —∞	7 —∞
1:16	0,82—1,28	1,13—2,25	1,4 —3,5	1,8 —8,5	2,4 —∞	3 —∞	3 —∞	4 —∞	5 —∞
1:22	0,77—1,44	1,03—2,8	1,25—5,1	1,6 —33	2 —∞	2,5 —∞	2,5 —∞	3 —∞	3 —∞

GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

Jakby nożem uciął, ustaje żałobny śpiew Malgaszów. Wszyscy biegiem opuszczają podwórze, wielu dąży wprost do puszczy. We wsi na polach ryżowych pełno pędzących w różnych kierunkach ludzi. W tym kotłowisku i pozornym zamęcie wieś staje się nieuchwytną dla żołnierzy: niesposób byłoby zamknąć teraz wszystkich mieszkańców.

Nie trwa długo, a potrzebne zioła przynoszą z lasu. Dżinarivelo sam je wybiera, warzy i przyrządza, po czym przy pomocy Bezazy i kilku ich innych ziomeków wlewa kapralowi do ust. Skutek jest prawie natychmiastowy. Chory silnie wymiotuje, a po kilku minutach czuje się lepiej i zapada w półsen. Przestaje rzeźić. Po godzinie stan jego poprawia się na tyle, że może powstać i uczynić kilka kroków.

Powiada, że zjadł we wsi dwa banany. Mianowicie po spaleniu chaty Manahitsary ujrzał na drodze małą dziewczynkę, trzymającą w dłoni kilka tych owoców. Niewiele pytając wyrwał jej dwa banany i zjadł je. Twarzy dziecka nie przypomina sobie. Nic innego we wsi nie jadł.

Więc zagadnienie: otruty czy nie otruty, pozostaje wciąż nie wyjaśnione i chyba klucza do niego już się nie znajdzie.

Kapral Ali nie odzyska dziś swej dzikiej zajadłości. Siedzi mruklivy i posepny, zmęczony ciężką przeprawą. Przykre zdarzenie przytłacza także dusze wszystkich innych żołnierzy: odczuwają, że są w zasięgu nieszczęścia, jakie zważyć się może na nich z niewiadomej strony. Nawet sam podporucznik, dotychczas tak wojowniczy, pod koniec staje się zamyślony i mniej pewny siebie.

Pod wieczór uważa za ukończoną swą działalność w Ambinanitelu i żołnierzom swoim każe wsiadać na ciężarówki. Niewiele zdziałał. Żegna się z nami nadęty i kwaśny.

Gdy warczenie motorów cichnie za skrajem dokoła góry Beniowskiego, we wsi odzyskują swe odwieczne wieczorne prawo przychylnie odgłosy. Słychać tłuczenie ryżu na stępach. Tak wieś malgaska przygotowuje się do swej wieczery, gdy nie zagraża jej spokojowi żaden wróg.

29. ŚCIEŻKI LUDZI I LEGEND

W DOLINIE Ambinanitelu równie wybudane rosną rośliny jak legendy, równie podatna jest gleba dla ryżu, jak dusza ludzka dla mitów. Opodal mej chaty stoi kępa olbrzymich bambusów, przebiegających się w górę jak zawadiackie istoty, i świadczy o niepomowanej rozrodzoności tutejszej przyrody; lecz nie ulega wątpliwości, że równie twórcze i namiętne soki zapładniają wyobraźnię brązowych ludzi.

Rzeka Antanambalana to nie tylko rzeka i nie tylko dziki zwierzę; to siedlisko żywej legendy o pięknej dziewczynie, zatrutej skażonym nurtem przez zazdrosną wiedźmę. W sąsiednich górach panują nieposkromione duchy, domagające się od podróżnych ofiar z bydła. Jest to wynikiem zawiłego zdarzenia sprzed wielu pokoleń. W sąsiedniej puszczy żyją łagodne lemury babakuty, potomkowie, jak wiadomo, nieszczęsnej dziewczyny, wypędzonej ongiś przez złych ludzi. Za moją chatą — pod górą Ambohimitsingo — jest piękne pole ryżowe, lecz piękne tylko dla pewnych mieszkańców sioła, dla innych jest straszne i złowrobnne.

Ostatnia legenda tej okolicy wstąpiła na tę najbliższą górę i ożywiła ją duchem Beniowskiego. Mała iskra, jaką kiedyś rzuciłem, nagle zapłonęła jasnym ogniem i rozpalila umysły. Ogień wciąż trwa, potężnieje i szerzy zapał. Zapał przerzuca się na drugą stronę rzeki, rozgrzewa sąsiednie doliny, imię wielkiego białego wo-

dza wdiera się w żywot coraz dalszych wiosek. Żywiołowe, wzbierające tchnienie.

Przychodzi do mnie sołtys ze wsi Ambohimbola i donosi, że ludzie jego odkryli na polu rowy i wał dziwnego kształtu, ślady starożytnej warowni. Powiada: warowni Beniowskiego. Delegacja z innej wsi, Santaha, przynosi wiadomość o istnieniu tam ruin, pozostałości dawnego grodu, wzniesionego — według starych podań — przez białego barona. Więc mówią: barona Beniowskiego. Nie ma ruin i nie ma wału, lecz zapładniająca myśl ogarnia ludzi, ponosi ich jak rozpętany rumak, działa jak niezwalczony urok i szeroko rozciąga fałę legendy.

Blask owej legendy świeci przede wszystkim na nas, dwóch białych ludzi, i mimo naszej woli wysuwa nas na pierwszy plan jak gdyby strażników malgaskiej wiary. Brązowi ludzie wiedzą, że tamten był Polak, tak samo jak my, i ta szczepowa przynależność urasta w ich pojęciu do wieloznaczącej tajemnicy.

W Ambinanitelu nastaje jasny okres dni spokojnych i pomyślnych. Żołnierze drugi raz już nie przychodzą. A chociażby przyszli, nie zastaną nie podejrzanego we wsi ani w przylegającej puszczy: zbiegli z Antalaha robotnicy znikają z sąsiedztwa zatoki Antongil, Łebski Ramaso rozsyła ich na południe i umieszcza wzdłuż wybrzeża aż do Tamatawy, gdzie przepadają wśród setek podobnych im towarzyszy. Równocześnie już na dobre przygasają we wsi uczucia nieprzyjazne między rodami Zanikawuku a Cyjandru. Wypadki, które wstrząsnęły w równej mierze jednych i drugich, otworzyły im oczy.

Moje szczęśliwe pożycie z Velomody zadziwia i mnie, i wszystkich mieszkańców Ambinanitela. Dziewczyna rozповіда, że jestem dobrym człowiekiem. Ludzie odnoszą się do mnie z rosnącym zaufaniem i nawet męska młodzież, dawniej tak wrogo nastawiona, wstępuje coraz częściej do mej chaty na przyjacielską pogawędkę. Stary Dżinarivelo jest zadowolony. I on przejął się marzeniem swej wnuczki: wierzy, że będzie miała piękne dziecko, że zostawie wsi ten dar przyjaźni.

— Czy jesteś tutaj szczęśliwy? — zagaduje mnie pewnego razu.

— Jestem szczęśliwy! — odpowiadam.

— Czy gdzie indziej byłoby ci lepiej?

— Chyba, że nie.

— Więc pozostaniesz u nas na zawsze?!

Pytanie drażliwe. Uśmiecham się zakłopotany i tylko wskazuję na moją białą skórę. Dżinarivelo jest domyślny i rozumie bez słów. Ogarnia nas cień smutku.

Lecz Dżinarivelo, jako Malgasz, jest również wytrwały i ambitny i nie może zatamować pobudzonej wyobraźni. Musi marzyć, musi snuć niepowściągliwe plany przyszłości. Najchętniej chciałby tworzyć nową legendę. Pewnego dnia zbliża się z uroczystym wyrazem twarzy i zaklina mnie:

— Gdybyś był potomkiem Beniowskiego, stałbyś się dla nas więcej niż przyjacielem: wodzem. Spełniłbyś tu posłannictwo swego życia, a twoim dzieciom oddawalibyśmy należną cześć. Czy jesteś potomkiem Beniowskiego?

— Nie jestem nim!

Dżinarivelo chwytając mnie niecierpliwie za ramię i prosi:

— Raczej namyśli się, że nim jesteś...

Wybucham wesołością:

— Czy mam stroić się w cudze piórka?... Tego zadasz?...

W miarę upływu dni Dżinarivelo nalega coraz serdeczniej i coraz uporczywiej. Już nie domaga się pokrewieństwa z Beniowskim; chce po prostu, żebym tylko pozostał u nich na stałe. Szlachetny starzec jest mądry i zna moje upodobania. Docenia węzły, jakie mnie łączą ze światem białych ludzi, i nie chce, żebym je zrywał: żyjąc w Ambinanitelu mam czerpać ze światła ważne słowo wiedzy, drukowanej na papierze; stąd natomiast wezmę ich żywe słowo — malgaskie.

— Stałeś na rozstajul — mówi któregoś dnia. — Mądrze wybieraj, vazaho, mądrze wybieraj!...

Jakże mu wy tłumaczyć?!

Dotychczas to ja byłem górą wśród brązowych przyjaciół i wgłębiałem się w ich pogmatwane przesady i obyczaje. A oto okazuje się, że i sam biały człowiek nie ma wolnej duszy, że tkwią w nim potężne hamulce trzymające go w okowach jeszcze mocniej, jeszcze drapieżniej niż zabobony i fady brązowego człowieka. Różne mają imiona i liczne są odcienie tajnych potęg białego człowieka, lecz największa z nich i najbardziej względniejsza zwie się: obowiązkiem. Jakże więc staremu Dżinarivelo wytłumaczyć, że nie mogę tutaj pozostać? Że dla obowiązku, na przekór zmysłom, sercu i rozumowi, muszę porzucić ten szczęśliwy zakątek.

Wyjadę.

Muszę wyjechać.

Opuszczę trzcinową chatę i słoneczną dolinę i jej tanreki, kameleony, lemury, motyle. Opuszczę Velomody, która na pożegnanie, zwalczając dzielnie łyż szlachetnie mnie zapewni, że w życiu każdy dobry dzień kończy się zachodem słońca i zmierzchem. Opuszczę dobrego przyjaciela Dżinarivela. Serdecznym, długim uściskiem dłoni i głębokim spojrzeniem sobie w oczy pożegnaj się z walecznym bojownikiem o lepsze jutro Madagaskaru, nauczycielem Ramaso, człowiekiem nowej epoki.

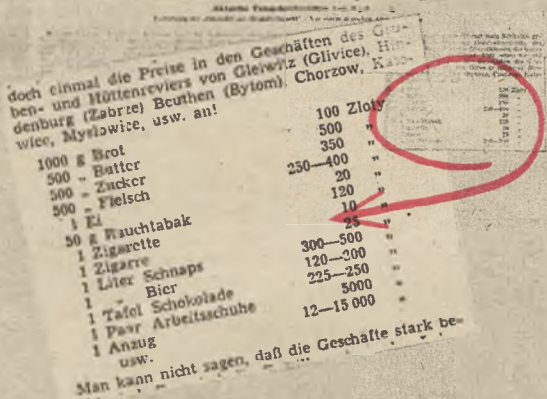
Właśnie on nie pozwala mi zapomnieć o nieustającym obowiązku walki. Nie wolno mi tonąć w bierność szczęśliwości, jaką mnie darzy Ambinanitelu. Powinnością moją iść tam, gdzie są pogmatwane gościńce, zatrute ludzką drapieżnością — i przykładąć rękę do budowy nowej, prostszej, sprawiedliwszej drogi.

K O N I E C



MILUSIEN HEUTE

Wie dem deutschen Schlesien sein Gesicht geantl wird



Jak łąć — to na potęgę. Goebbels podniósł tę maksymę do godności obowiązującej zasady, a jego uczniowie, redagujący odwetowe szmatławce w Niemczech zachodnich stosują ją nadal z upodobaniem. Oto rewizjonistyczny tygodnik „Schlesische Rundschau” z dn. 15 sierpnia 1953 roku drukuje „korespondencję własną” ze Śląska pt. „Jak niemiecki Śląsk został pozabawiony swego oblicza”. Ma to być rzekomo relacja naoczne go świadka, który, „właśnie powrócił z objazdu po Śląsku”. O wartości tej relacji może

świadczyć ustęp, omawiający ceny w „Gliwicz”, „Hindenburg”, „Beuthen” itd. Otóż kilogram chleba kosztował ma na Śląsku 100 zł, pół kg masła 500 zł, pół kg cukru 350 zł, pół kg mięsa 250-400 zł, jajko 20 zł, papierosy 10 zł za sztukę, litr wódki 300-500 zł itd.

Albo więc „specjalny korespondent” zakpił sobie z redakcji hitlerowskiego piśmiidła, albo... jego informacje pochodzą sprzed trzech lat, z okresu przed reformą walutową! Pismo jednak podkreśla, że są to dane z ostatnich tygodni.

WIĘZNIENIE ZA DOBRÓĆ

Książ Guido Visendaz był w czasie wojny kapelanem wojskowym armii włoskiej. Po przewrocie Badoglio ks. Visendaz został z innymi żołnierzami włoskimi, którzy wystąpili przeciwko hitlerowskiemu Wehrmachtowi, zesłany do obozu koncentracyjnego w Westfalii. Po paru tygodniach udało mu się wyrwać z niewoli i przedostać do Francji, gdzie wstępuje w szeregi partyzantki pod pseudonimem Le Page.

Po powrocie do ojczyzny ks. Visendaz zakłada w Lanciano, w Abruzzach, komunę dziecięcą, w której gromadzi dziesiątki wykończonych przez wojnę młodych chłopców i dziewcząt. W uznaniu zasług ks. Visendaz odznaczony zostaje w roku 1949 przez związek dziennikarzy włoskich „Premio della bonda” — odznaczeniem przyznawanym za wyjątkowe zasługi dla dobra narodu włoskiego.

Taka działalność ks. Visendaz nie podobala się oczywiście ani włoskiej reakcji ani Watykanowi. Przecież to, co robi ks. Visendaz — to bolszewizm! Toteż markiz Martinetti zagarnął przy pomocy policji miasteczko chłopców wraz z domkami, warsztata-

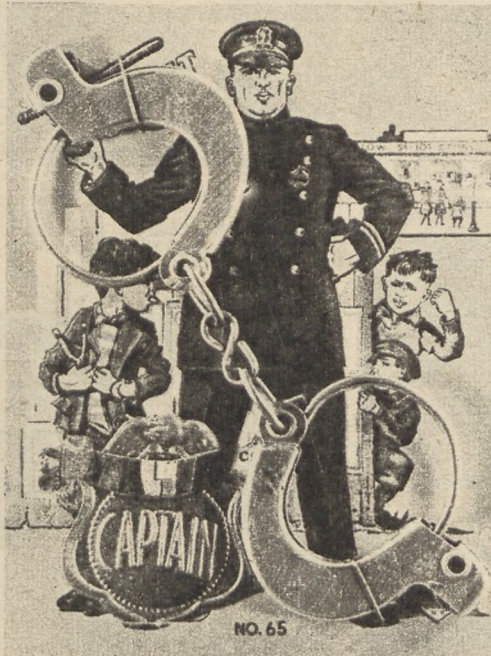


Ks. Visendaz opuszcza więzienie.

NASI MILUSIŃSCY — WERSJA AMERYKAŃSKA

Zbliża się już okres przygotowywania podarków pod choinkę. Zapobiegliwi fabrykanci zabawek w USA, w trosce o odpowiednie wychowanie europejskich dzieci, wysyłają więc do krajów atlantyckich modele swych najnowszych produktów. Oto zachęcająca reklama jednej z takich zabawek, popularyzowa-

nych obecnie w Belgii: kajdanki i pałka policyjna będą piękną ozdobą choinkowego drzewka, dekorowanego według amerykańskich gustów. Zwracamy uwagę na uroczę twarzyczki „milusińskich”, przysposabiających się do roli gangsterów lub amerykańskich policjantów (co na jedno wychodzi).



„WOŁNA POLSKA” czyli „GŁOS AMERYKI”

Niejaki Józef Pretwic w nr 9/7 (!) emigranckiej „Kultury” snuje smętne rozważania na temat „Radia i radiotów”, oczywiście spod znaku „Freies Europa” itp. Autor, pełen troski o poziom tych audycji, nie bardzo jednak wierzy w ich skuteczność. Ku przestrodze przypomina swoim kolegom, że „wysiłki radiowe Goebbelsa i jego bez mała genialnego Joyce’a (Lorda How-How) na postawę Anglików... były w efekcie do-kładnie równe zeru”.

A cóż dopiero mówić o dzisiejszych nieudolnych uczniach Goebbelsa, szczekających na dobitkę kiepską polszczyzną (jak w wyżej przytoczonym zdaniu)? P. Pretwic nie tai przed swymi czytelnikami strasznej prawdy:

„Żadna z tych stacji nie jest polska: wszystkie są finansowane przez rządy i radiofonie obce. Na to nie ma rady... Stopień niezależności tych programów

jest wielce różny. Niektóre ograniczają się do tłumaczenia na język polski tekstów dostarczonych przez chlebobdawców... Rozumni zagranicznicy powinni pozostawiać polskim radiotom maksimum swobody: tylko pod tym warunkiem mogą sami ze swych wkładów odnieść jakieś korzyści propagandowe”.

Nie będziemy przytaczać wszystkich cennych rad p. Pretwica. Zacytujmy jeszcze tylko ten jeden rozczulający pasus:

„Pomijam kwestie techniczne: potykania się, timbre głosu, ale obce akcenty nie mogą być tolerowane. W Nowym Jorku np. przemawia jakaś panica, która mówi „Poł-ska”! Są to zbrodnie”.

Możemy uspokoić p. Pretwicę: najwymowniej-si spikerzy nic tu nie pomogą. Zbrodnią jest i po-zostanie wymowa tych audycji.

TAKI

Z właściwym prasie amerykańskiej taktem, tygodnik „Time” (w numerze z dnia 2 listopada 1953 r.) informuje:

„W ubiegłym tygodniu Prezydent spełnił naj-przykrzejszy (dla siebie) obowiązek: towarzyszył swej małżonce na inau-guracyjny koncert Narodowej Orkiestry Symfonicznej. Upodobania muzyczne Ike’a są proste. Lubi on, podobnie jak Harry Truman, grę na pianinie i ludowe piosenki, ale jak

większość amerykańskich mężczyzn nie interesuje się zupełnie muzyką symfoniczną.

„Kiedyś, gdy Eisenhower był jeszcze rektorem Uniwersytetu Columbia, uciekł podczas przerwy z koncertu muzyki kame-ralnej i skrył się w toale-cie, gdzie przesiadził do końca koncertu”.

Nie darmo powiadają o amerykańskich reporterach, że wszędzie wleżą. Nawet za prezydentem do... „00”.

MARIAN BRANDYS

DO PŁACZU I DO ŚMIECHU

K TO służył przed wojną w sanacyjnym wojsku, temu z pewnością obiko się o uszy powiedzenie: „Tu nie uniwersytet — tu wojsko”. Ówczesne „szarże” częstowały nim młodych rekrutów do syta. Treść ulubionego powiedzonka wyrażała ideał przedwojennego wojska — brutalną, antyintelektualną krzepę. Dowcipem tym, w którym groźnie warczało zwielokrotnione „r”, tępiono w koszarach „książkowe ofiermy” i przepędzano z „zatrąconych cywilów” wszelkie tęsknoty kulturalne. — „Tu nie uniwersytet” — warczeli ze zwycięskim błyskiem w oku kaprale i sierżanci — „Tu nie uniwersytet, tu wojsko!”

To ulubione powiedzonko przedwojennych koszar przypomina mi się prawem kontrastu przy każdym niemal zetknięciu z żołnierzami Ludowego Wojska Polskiego. Bo — jak na urągawisko przedwojennym autorom dowcipnego zawołania — obecne Wojsko Polskie dla tysięcy swych żołnierzy stało się właśnie, jeżeli nie uniwersytetem, to w każdym razie potężnym czynnikiem upowszechniania kultury i czytelnictwa. Tysiące młodych chłopców wiejskich w czasie służby wojskowej stykają się po raz pierwszy z książką, jako z chlebem powszednim. Tysiące urzędników, lekarzy i inżynierów — którzy w codziennej harówce nie znajdują czasu na czytanie książek — na wojskowych ćwiczeniach rezerwy nabierają dopiero prawdziwego smaku do literatury. Wystarczy porozmawiać krótko z powracającymi z ćwiczeń, bądź z czynnej służby — aby zorientować się, jak dużo miejsca w ich wojskowych wspomnieniach zajmują opowiadania o przeczytanych książkach.

Ale nie zamierzam w tym felietonie snuć ogólnych rozważań na temat czytelnictwa w wojsku. Zajmę się, jak zwykle, konkretnymi książkami. A przydługi wstęp ogólny napisał mi się tylko dlatego, że na książki, o których chcę dzisiaj mówić, zwrócił mi po raz pierwszy uwagę właśnie pewien młody żołnierz powracający z wojska do domu.

Jechaliśmy razem pociągami — jak to z dzisiejszymi żołnierzami bywa — zgadzało się o książkach. W pewnej chwili żołnierz zapytał: „A książkę „Smolakowo” znacie? Autora nie pamiętam, miał takie jakieś krótkie, wesołe nazwisko. Ale książka śliczna, do śmiechu i do płaczu. Koledzy z jednostki aż się nad nią po-bezczeli. Koniecznie przeczytajcie”.

Ha, jak tu nie przeczytać książki, która twarde żołnierskie serca wzrusza aż do płaczu?!

Zaraz też po powrocie do domu rzuciłem się do czytania owego „Smolakowa”. Wypisz, wymaluj — było tak, jak powiedział żołnierz. Nazwisko autora krótkie i jakieś wesołe — Józef Hen, a sama książka śliczna — naprawdę do śmiechu i do płaczu.

Tak mi się to „Smolakowo” spodobało, że od jednego zamachu przeczytałem i wszystkie pozostałe książki Hena. Jest tych książek kilka. Wszystkie niewielkie — raczej książeczki niż książki — wszystkie urzekająco świeże i wszystkie o wojsku. Jeszcze w roku 1943, gdy tworzyła się Pierwsza Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, przypiął się Hen do wojska i aż do teraz — chociaż od dawna już jest cywilem — w żaden sposób oderwać się od wojska nie może i żadnych innych bohaterów literackich poza wojskowymi nie uznaje. A trzeba przyznać, że ten młody pisarz w czasie swego pobytu w wojsku posiadał niejedną tajemnicę żołnierskiego serca i umie pisać o żołnierzach tak, jak mało kto w naszej obecnej literaturze. I chociaż sztuczny i śmieszny jest podział książek na wiejskie czy miejskie, na cywilne czy wojskowe — to przecież we wszystkich książkach Hena czytelnik odnajduje ten sam szczególny ton — wzruszający i urzekający ton żołnierskiej piosenki. I wszystkie te książeczki — choć mowa w nich przeważnie o najzwyklejszej ludzkiej miłości — są w jakiś sposób maleńkimi fragmentami epopei Ludowego Wojska Polskiego.

A z całej twórczości Hena najładniejsze są dwa ostatnie opowiadania, wydane w pięknych złotych książeczkach nowego wydawnictwa „Naszej Księgarni”: wspomniane już „Smolakowo” i „Waruga nie pojechał”. Kto te opowiadania przeczyta — ten z pewnością przyjmie do grona swoich bliskich znajomych literackich pewnego młodego kaprała czynnej służby i przemiłą piegowatą dziewczynę, która przy studni zakochała się w żołnierzu idącym na wojnę.

Piszę o tych opowiadaniach dla wszystkich, którzy nie mają okazji do rozmów w pociągach z powracającymi do domu żołnierzami. Bo na razie o twórczości Hena można dowiedzieć się tylko od żołnierzy. Krytyka literacka nie zdążyła jeszcze jej dostrzec.



Niegroźny dla mnie strzał na bramkę — odkąd czytam dział sportowy w „SWIETCIE”. Pisany dawniej w żargonie sportowym, ostatnio ukazuje się już w polskim przekładzie.

Pozwólcie, że najpierw się przedstawię! Gdybym teraz pojechał do Syjamu, to na tle powszechnych tam syjamskich kotów — zrobiłbym wielką karierę jako oryginalny kot polski. Tu jednak jestem bardzo pospolity, jakkolwiek ktoś kiedyś powiedział, że jestem jedynym zwierzęciem domowym, którego człowiek nigdy nie oswoił. Istotnie — mnie jest trudno coś kazać, ja jestem dalekim krewnym tego kiplingowskiego Kota, który Zawsze Chadzał Własnymi Drogami. Inny mój daleki krewny chadzał po Paryżu z napisem na obrócce: „Nazywam się Fifi — Balzak należy do mnie”. Zdarza się, iż ludzie w podstępny sposób, dla swych ciasnych celów, podszywają się pod kocie piórka — przepraszam — sierść; wyczerpująca nasświetlił ten problem człowiek Aleksander Fredro, który w komedii „Zemsta” wspomina o piosence dziewczyny (młoda samyczka człowieka): „Kot, kot — pani matko — kot, kot — narobił mi w pokoiku łoskot! Córka moja, córka, czy ten kot ma nogi? Jeszcze jakie, pani matko — i srebrne ostrogi!”

Wbrew utartym przesądom, przywiązuję się bardzo do ludzi. Znam wypadki, kiedy moi krewni wędrowali setki kilometrów za drogiem im istotami. Ale ludzie — są różni. Moim krewnym jest bowiem także i ten kot, którego niedawno łobuzeria podpalila żywcem i wrzuciła płonącego do kasy biletowej na podwarszawskiej stacji Marki. Nie jest przypadkiem, że w pobliskich Ząbkach inni chuligani wrzucili pod pociąg mężczyznę, który zareagował na ordynarne zaczepki pod adresem jego żony. Kiedy sąd ukarał ich odpowiednio, to właśnie w Markach łobuzeria obrzuciła kamieniami karetę sanitarną, wiozącą z rozprawy ofiarę rozwydrzenia — kalekę bez ręki i nogi. Tak tak — moi drodzy — zaczyna się od kotów a kończy na ludziach. Hitler wiedział dobrze co czyni, gdy kazał dzieciom z całym sadyzmem mordować w szkole wychodowane przez nie koty.

L. W.

NOTATNIK (kocięgo) ZAPALEŃCA

Fot. K. JAROCHOWSKI



Są ludzie, którzy całymi godzinami mogą patrzeć na kocie harce. Dla nich właśnie pozuję fotografowi. Podpieranie się własnym ogonem ułatwia zachowanie równowagi.



Prawa przednia łapka może służyć do ścienia piłki, względnie podrapania nartętnego fotografa, który oślepia mnie nagłymi błyskami magnety i każe ciągle skakać!



Ludzie w przystępie czułości darzą się nazwami „kiciuś”, „kotuś” i innymi z mej dziedziny. Stanowczo natomiast protestuję przeciw kalaniu niewinnego słowa „kociak”.



Przedstawienie skończone! Proszę, abyście w nagrodę wpuścili do ciepłego kąta nych zziębniętych współplemieńców i poczęstowali ich miseczką gorącego mleka! Dziękujemy.

Drodzy Czytelnicy!

Jak wskazuje ostatnia pocztka, zawierająca szereg listów na temat naszego tygodnika, dyskusja o treści i formie „Świata” nie wygasa. Cieszymy się tym zainteresowaniem i drukujemy poniższą wypowiedź, w przeświadczeniu, że nie będzie ona ostatnią.

Na wstępie pozwolę sobie zaznaczyć, że 4 lata temu byłem analfabeta — zaś dziś już trochę jest ze mną inaczej. Jestem stałym prenumeratorem tygodnika „Świat”. Bardzo lubię czytywać Wasze pismo, które jest także i naszym, dlatego, że zawiera b. ciekawe działy dla tych ludzi, którzy chcieliby się czegoś nowego dowiedzieć i nauczyć! Prawda, że „Świat” zawiera rzeczy ciekawe dla wszystkich, ale zainteresowania robotników — czytelników są różne. Dział „Drodzy Czytelnicy” traktujący o tzw. bolączkach i życzeniach czytelników — do dał nam bodźca, żeby napisać do zapewne sympatycznego Redaktora „parę” słów. Tym bardziej, że Redakcja życzy sobie tego, jak to się „modnie” mówi: w ramach obopólnego porozumienia.

Dobrze jest, kiedy Redakcja „robi zadość np. „miłośnikom sportu”, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby dział „Rozrywek umysłowych” systematycznie, tj. co tydzień, zamieszczał logogryfy, szarady, krzyżówki itp. Nie wiem, może ktoś wychodzi z założenia, że rozwiązywanie zadań z działu „Rozrywek umysłowych” (poza szachowymi) jest jakimś maniactwem, ale logogryf, czy krzyżówkę „dowcipną”. Nie wiem natomiast, jak się nazywała druga żona Peryklesa i ciekawe, że mój dyrektor, który ma przedwojenną maturę — też nie wie. Powiedział mi o tej żonie i o Peryklesie kino-mechanik, który jest samoukiem — tak jak ja.

W Bibliotece Publicznej w Zarowie — dostałem odpowiednią książkę i już wiem. Wniosek: szarady, logogryfy, krzyżówki uczą i rozwijają myśl.

Jesteśmy jednego zdania, że Dział Rozrywek Umysłowych jest stanowczo za słaby i prowadzony „na odczepnego”, po macoszemu. Dla niektórych z nas ten dział jest stanowczo za mały.

Propozycja naszego kolektywu Miłośników Literatury i periodyków jest taka: 1) powiększyć cenę numeru o 60 gr. 2) poszerzyć dział — jeśli to się da przeprowadzić, ze względu na trudności techniczne. Natomiast zmniejszyć Dział Mody.

Wyloniła się u nas dyskusja, na którą zaprosimy kogoś z Redakcji (na nową dyskusję oczywiście) dot. „Świata” na temat tego działu „Tanio i ładnie”?

Padają wypowiedzi — ładnie to ładnie — ale nie tanio, bo komu tanio — a komu drogo!

INNE SPRAWY

Ludzie nasi coś nie bardzo wierzą A. Fiedlerowi — jeśli chodzi o Ambinaitelo. Autor Ryb, które śpiewały w Ukajali — coś za bardzo przeciąga. A cała ta gorąca wieś — to dokoła Wojtek. Tak, ze prosimy o... koniec! A puste szpalty wypełnić powieścią współczesną — z naszego życia!!!

Ludzie chcą więcej sportu, logogryfów, ładnych zdjęć oraz powiększenia działu „Fotografia na codzień”.

Kochany Redaktorze! Proszę mi nie brać tego co napisałem za złe! Nasze wypowiedzi są szlachne, lubimy Was i „Świat” — ale „Świat” jest chyba dla nas drukowany.

Nie powodujemy się złościwością — bo widzimy, że „Świat” jest estetycznie wydany. Pragniemy „Świata” kolorowego, tak jak „Ogoniok” rosyjski.

Zyczymy owocnej pracy.

Kolektyw robotników, Miłośników Prasy i Literatury
J. Babc, Zarów, pow. Świdnica, ul. Mickiewicza

Drodzy Czytelnicy, będziemy usiłowali i to bez podwyższania ceny „Świata”, rozszerzyć i wzbogacić dział rozrywek umysłowych. Dział sportowy, jak to można zauważyć przeglądając ostatnie numery, uległ już zasadniczej zmianie. Sądzymy, że zadowoli on już większość naszych Czytelników. Jeśli idzie o rubrykę „Tanio i ładnie”, redakcja weźmie pod uwagę krytyczną ocenę Czytelników. O „Świecie” kolorowym nie konkretnego nie możemy jeszcze powiedzieć, chociaż i to zagadnienie jest przedmiotem rozważań redakcji. Uwzględnienie jednak postulatu zastosowania barwnej fotografii — jest sprawą techniczną, co do której przedwcześnie byłoby się już teraz wypowiadać.

Co do Fiedlera — to raczej chyba sprawa indywidualna. Może wypowiedzą się jeszcze inni Czytelnicy? Zresztą powieść dobiegła końca.

„ŚWIAT”

FRASZKA

W związku z porwaniem przez czangajszekowskich piratów polskiego statku „Praca” i wykrętną odpowiedź USA na notę polską w tej sprawie.

Dla nich żadna grabież, kant,
Nie jest złem, gdy się oplaca.
Oni twierdzą z głupia frant,
Że nie hańbi żadna „Praca”.

KAROL KORD

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.
Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 710. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-16952
Podpisano do druku dnia 11.XI.53.

FELDMARSAŁEK I SWASTYKA

Dokończenie ze str. 18

Gdyby nie takie wydarzenie, nigdy by sobie przecież nie pozwolił o świecie dzwonić do junkierskiego pałacu! Pani Manstein wyjrzała przez okno. Ale i ona nie wiedziała o amnestii. Pfinder obiecał, że pójdzie zaraz na pocztę przekonać się, czy jest jakiś „angielski” list. Powinien być, skoro dziennikarze dzwoniли o północy...

„Przybyłem na pocztę — opowiedział później burmistrz swoje przygody z „uwolnieniem” Mansteina —

jeszcze przed otwarciem okienka. I rzeczywiście list był. Adresowany był po angielsku do feldmarszałka. Naczelnik poczty wręczył mi go uroczystie. Pobiegłem co sił na zamek i po chwili stałem przed obliczem starego feldmarszałka i jego zdenerwowanej żony. Manstein przeczytał krótki tekst i przetłumaczył domownikom jego treść. Wszyscy zebrani padli sobie w objęcia”.

Tekst listu brzmiał:

„Będzie panu zapewne przyjemnie otrzymać wiadomość, że w dniu dzisiejszym podpisany będzie akt amnestii, który z dniem 7 maja 1953 roku zakończy pański pobyt w więzieniu”.

W ósmą rocznicę klęski Hitlera Manstein odzyskał wolność.

Zebrana na pałacowym dziedzińcu orkiestra strażacka odegrała „Deutschland, Deutschland ueber alles...” Dzieci miały wolny dzień od nauki. Następnie uformował się, pod przewodnictwem burmistrza, pochód, który wraz z Mansteinem i jego baronowską rodziną przemarszował przez całe miasteczko. Wieczorem rada miejska urządziła obiad na cześć „solenizanta”.

W miesiąc po uwolnieniu Manstein przybył do Bonn. Pierwszą wizytę złożył Adenauerowi, który powrócił właśnie z USA, wioząc amerykański glejt na utworzenie neohitlerowskiego Wehrmachtu.

Rozmowa z kanclerzem bońskim trwała dość długo. Kiedy Mansteinowi wychodzącemu z Palais Schaumburg, dziennikarze zadali pytanie, czy zamierza wrócić do Wehrmachtu, ulubieniec Hitlera odpowiedział:

— Uważam, że nie jestem jeszcze feldmarszałkiem A. D. (Ausser Dienst — w stanie spoczynku), ale z V. (zur Veruegung — do dyspozycji).

Co do tego, nikt nie ma w Bonn — i na całym świecie — żadnej wątpliwości!

KONIEC

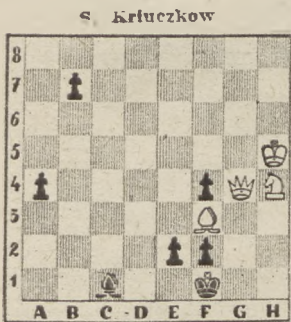
LENGREN



— Mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE



Mat w 3 posunięciach.

PARTIA NR 84

Gra w IX rundzie turnieju kandydatów w Szwajcarii. Obrona królewsko-indyjska. Białe: Euwe (Holandia). Czarne: Najdorf (Argentyna).

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 g7-g6 3. g2-g3 Gf8-g7 4. Gf1-g2 0-0 5. Sb1-c3 c7-c5 6. d4-d5 e7-e5

Czarne blokują centrum sprowadzając grę na tory wariantów przypominających obronę Ben-Oni. Zamiast posunięcia w tekście, częściej grywane jest 6... d6 i 7... e6.

7. Gc1-g5 h7-h6

Należało grać 7... d6 i jeśli

8. Se4, to 8... Ha5+.

8. Gg5:f6 Hd8:f6 9. d5-d6!

Teraz czarne będą miały trudności z ukończeniem rozwoju.

9... Sb8-c6 10. e2-e3 b7-b6 11. Gg2-d5! Kg8-h8 12. Sc3-e4 Hf6-d8 13. h2-h4 f7-f5

14. Se4-g5! Gc8-b7 15. g3-g4 Niedobre było 15. Sf7+ W:f7

16. G:f7, gdyż po 16... Hf6 białe tracily pioną d6.

15... e5-e4

Czarne szukają szans w przeciwnatarciu. Minusem posunięcia w tekście jest powstanie „dziury” na polu f4.

16. Sg1-e2 Gg7:b2 17. Se2-f4 Hd8-f6

Mniejszym złem było 17... G:a1, choć i w tym przypad-

ku położenie czarnych nie było wesołe.

18. g4:f5 Gb2:a1

Na 18... g:f5 nastąpiłoby 19. Hh5.

19. Sf4:g6+ Kh8-g7 20. Sg5:e4! Ga1-c3+ 21. Ke1-f1 Hf6:f5 22. Sg6-f4! Kg7-h8

Czarne pozostawiają gońca pod biciem wobec groźby straty hetmana po 23. Sg3 i 24. Hg4+.

23. Se4:c3 Wa8-e8 24. Sc3-e2 Wf8-g8 25. h4-h5 Wg8-g5

26. Se2-g3 Wg5:g3 27. f2:g3 We8:e3 28. Kf1-f2 We3-e8 29. Wh1-e1 We8:e1 30. Hd1:e1

Kh8-g7 31. He1-e8 Hf5-c2+ 32. Kf2-g1 Hc2-d1+ 33. Kg1-h2 Hd1-c2+ 34. Sf4-g2 Hc2-f5 35. He8-g8+ Kg7-f6 36. Hg8-h8+ Kf6-g5 37. Hh8-g7+ i czarne poddały się.

Byli mistrz świata w pięknym stylu przeprowadził całą partię.

Uwaga uczestnicy konkursu „Tylko dla szachistów”!

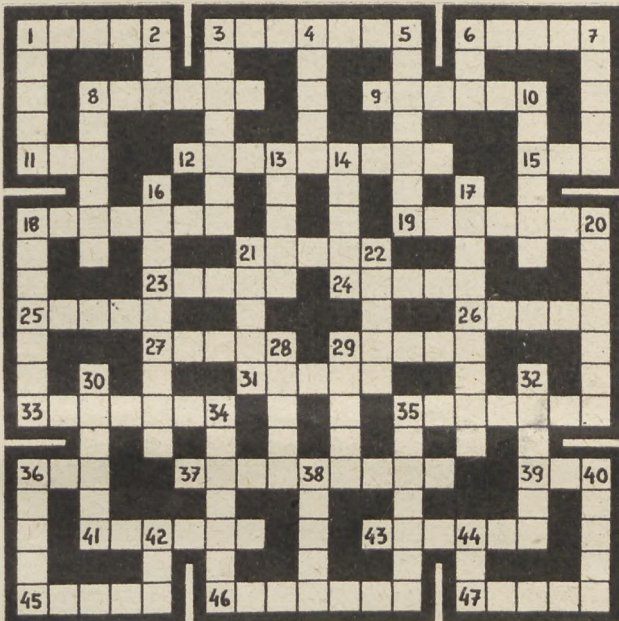
Na liczne prośby Czytelników przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań do dn. 5 grudnia br.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1) Wyżyna azjatycka zwana „Dachem świata”. 3) Skrzydło domu od podwórza. 6) Wzruszenie, podniecenie. 8) Przywódca kozacki. 9) Otwór wulkanu. 11) Przyrząd gimnastyczny. 12) Pseudonim poety polskiego (1822-1862). 15) Miara powierzchni. 18) Miasto na Uralu. 19) Stolica jednej z republik radzieckich. 21) Niedopisanie, niepowodzenie. 23) Rynek na którym odbywały się zgromadzenia ludowe w starożytnej Grecji. 24) Gryzoń amerykański podobny do królika. 25) Stolica francuskiej Afryki zachodniej. 26) Rodzaj drogi białej. 27) Imię męskie. 29) Figury geometryczne. 31) Główna tętnica. 33) Rodzaj otomany. 35) Przerwa teatralna. 36) Rodzaj jadłodajni. 37) Mucha hiszpańska. 39) Gatunek wierzby. 41) Woń, zapach. 43) Chęć, zapal. 45) Brak, niedobór. 46) Część matematyki. 47) Miasto powiatowe nad Wartą.

Pionowo: 1) Grzeczność, ogląda. 2) Matka Zeusa. 3) Gliniany instrument muzyczny. 4) Człowiek wyrażający się z lekceważeniem o rzeczach szlachejnych. 5) Imię żeńskie. 6) Głos żeński. 7) Bohater powieści Gajdara. 8) Stolica Turcji. 10) Miasto między Moskwą i Mirczińskiem. 13) Dramat muzyczny. 14) Tłuszcz jadalny. 16) Sto-



ca jednego z państw demokracji ludowej. 17) Część widowni teatralnej. 18) Sztuczna droga oparta na arkadach. 20) Ozdobny kamień. 21) Szeroki kołnierz marszczony. 22) Roślina egzotyczna. 28) Przypomnienie. 29) Dziura, luka. 30) Starożytne państwo na Peloponezie. 32) Zywiół górski. 34) Największy wodospad świata. 35) Część programu radiowego. 36) Miasto portowe nad m. Czarnym. 38) Wyspy Koralowe. 40) Pierwia-

stek chemiczny. 42) Część twarzy. 44) W mitologii: przedświecie piekieł.

K. Zbolały — Goczałkowice.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.



W dzisiejszym odcinku naszego działu pokazujemy czeski model palciowego (tzn. pelisy) oraz cztery modele kapeluszy na sezon zimowy.

Pelisa ma rękawy raglanowe, zakończone mankietem. Kołnierz szeroki i prosto cięty, może być z nutrietów węgierskich (tak samo zresztą jak spód), albo z innego futra. Pokrycie w kolorze szarym lub beżowym z wełny cienkiej, względnie gabardiny.

Kapelusze — jak widzimy — modne są małe, odsłaniające fryzurę (z czego wniosek, że należy skromnie się czesać). W dalszym ciągu bardzo modne są berety wszelkich kształtów i barwy.

W następnym odcinku naszego działu pokażemy niektóre modele Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, które odniosły duży sukces na pokazie w Lipsku z okazji Wielkich Targów, które odbyły się tam przed paroma tygodniami.

TANIO i ŁADNIE

MAŁGOSIA JEST ZADOWOLONA...



Dzisiaj umyła ją jak co dzień mydłem dla dzieci „URODA”, a po dokładnym wysuszeniu ciała wszystkie miejsca wrażliwe na odparzenie, przypudrowała zasypką dla dzieci „LECHIA”, lub „MIRACULUM”, która dezynfekuje, łagodzi zaczerwienienia i chłodzi.



W podróże MIEDZYPLANETARNE



RYS. BARO



Rozkład jazdy



— Proszę na Wenus!



Bez podpisu



Marsjanin:
— Odkryłem kanały na Ziemi, muszą tam być istoty rozumne!



— A pani z tymi kotkami?
— Na drogę mleczną...



— Proszę dwa na Księżyc, jeden po-
wrotny!